Nr. 26. Warszawa, dnia 1 Lipca (19 Czerwca) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od dnia 8 b. m. Administracya „Prawdy“ mieścić się będzie w domu sąsiednim przy ulicy Żórawiej nr. 34, na dole.

POLITYKA.

WYBORY NIEMIECKIE.

Berlińskie pismo humorystyczne, *Ulk*, ilustrując najbliższy wieczór parlamentarny u hr. Capriviego, przedstawia jego gości-posłów w obszarpanem ubraniu, z czapkami na głowach, z twarzami zawiązanemi po bijatyce; jedni leżą na sofach, inni pochłaniają kiełbasy, kanclerz zaś, robiąc dobrą minę, trąca się kieliszkiem z Liebknechtem. Karykatura ta, umieszczona w piśmie wydawanem przez najbardziej rozgromionych postępowców, odbija rzeczywistość o tyle, że uwydatnia główny wynik ostatnich wyborów do sejmu niemieckiego. Pomijając bowiem drobne przemiany w przyszłym jego składzie, najważniejszą będzie znaczny wzrost stronnictwa społecznych demokratów (do 44 głów). W ostatnich latach panowania Bismarka posiadali oni w sejmie tylko 12 przedstawicieli. Wtedy kanclerz odezwał się z butną ironią, że go nie przerazi nawet drugi ich tuzin. Dziś liczą oni już blizko cztery tuziny. Wypadek ten przeraził niemców tak dalece, że przy wyborach ściślejszych najbardziej pokłócone partye pomagały sobie, ażeby tylko nie dopuścić wspólnego wroga. Gdyby nie ta pomoc, grupa Richtera, która w pierwszej walce wyborczej nie zdołała przeprowadzić ani jednego kandydata, nie preparłaby w drugiej 16. Zwłaszcza Berlin, ta „twierdza postępowców,“ którą oni władali niepodzielnie, sprawiła im wielki zawód, gdyż z wyjątkiem pierwszego okręgu stracili ją całkowicie. I jak sromotnie! W drugim ogręgu Virchowowi przeciwstawiono—kogo? Jakiegoś Fischera, o którym tyle zaledwie słyszano, że był sekretarzem partyi społeczno-demokratycznej. I ten nieznany człowiek pobił przy urnie słynnego anatomo - patologa większością 10,000 głosów! W okręgu trzecim ze znakomitym adwokatem Muncklem współzawodniczył sklepikarz Vogtherr i — zwyciężył go większością 5,000 głosów. W okręgu piątym z głośnym weteranem politycznym, Baumbachem, zmierzył się robotnik fabryki fortepianów, Schmidt i — wydarł mu mandat większością 2,000 głosów. Wszystko to wyglądało jak sen, a jednak było niewątpliwą rzeczywistością. To też pisma niemieckie nie mogły wyjść ze zdziwienia. „Uczony ze sławą europejską — powiada *Berlin. Tageblatt* — weteran myśli postępowej, demokrata, którego pracowite życie stało się chlubą ojczyzny niemieckiej, Virchow, musiał ustąpić miejsca nieznanemu zecerowi.“

Jakkolwiek znawcy stosunków i prądów politycznych rzucili się natychmiast do objaśnienia tego nieoczekiwanego wypadku, wytworzyli tylko koło niego zamęt, gdyż nie mogli zejść ze swego jednostronnego stanowiska: zamiast zrozumieć i wytłomaczyć fakty, będące zjawiskami procesu rozwojowego, uważali je za owoce błędów taktyki wyborczej i poszukiwali winowajców naturalnie śród swoich przeciwników. Postępowcy oskarżali antisemitów, konserwatyści liberałów itd. Te same gazety, które dowodziły, że olbrzymi przyrost głosów i posłów społeczno-demokratycznych nie oznacza powiększenia się wyznawców ich teoryi, ale spotęgowanie się niechęci przeciw projektowi wojskowemu, teraz stwierdzają, że ów projekt będzie miał większość w nowym sejmie. Jakże te dwa sprzeczne objawy pogodzić? Naszem zdaniem, klucz zagadki spoczywa gdzieindziej. Niezależnie od sofistyki Bismarka, trzeba przyznać słuszność jego uwadze, że chorobą niemiec są partye. Bo zastanówmy się tylko, ile one mają tego dobrego w swym sejmie: konserwatyści, wolnokonserwatyści, centrum, narodowo-liberalni, postępowcy, społeczno-demokraci, demokraci ludowi, welfowie, polacy, alzatczycy, duńczycy, przedstawiciele związku rolników, antisemici i jeszcze t. zw. dzicy. Czternaście grup! Jak gdyby to rozdrobnienie było jeszcze niedostateczne, postępowcy rozdzielili się na dwa odłamy. Jest więc 15 odmiennych obozów i chorągwi, które nadto w pewnych sprawach różniczkują się dalej. Każde z tych stronnictw ma swój „program,“ na który przysięga, jak na ewangielię, a ponieważ trudno wymyśleć 15 wyraźnie różnych i odgraniczonych od siebie programów, więc one przeważnie utkane były z bardzo małych odcieni, których masa wyborcza uchwycić nie mogła. Wmawiano w nią, że ona doskonale pojmuje różnicę między konserwatyzmem a wolnokonserwatyzmem, między „związkiem postępowym“ (Rickerta) a „ludową partyą postępową“ (Richtera) lub „partyą ludową,“ ale to „poddawanie myślowe“ było bałamuctwem. Znużony taką parcelacyą stronnictw naród, nie mogąc zrozumieć ich pajęczych subtelności, postanowił zwrócić się do najwyraźniejszych i oddał im swe głosy. Dlatego też najwięcej utraciły mandatów w ostatnich wyborach t. zw. partye pośrednie (Mittelparteien), mieszańce różnych żywiołów, dotykające jednym brzegiem swych programów do najskrajniejszego demokratyzmu, a drugim — równie skrajnego konserwatyzmu, dlatego słynny bojownik Richter nie zdołał odrazu zdobyć mandatu w swym Hagenie, a sponiewierany, opluty łgarz i potwarca Ahlwardt zdobył aż dwa. Lud bowiem lepiej zrozumiał antisemitę, niż mieszczańskiego radykała.

Obecny zatem wypadek głosowania powszechnego w Niemczech nie tylo jest protestem przeciw militaryzmowi i powięk-

szaniu ciężarów podatkowych, nie tylo odchyleniem się sympatyi społeczeństwa w tym lub owym kierunku, ale przedewszystkiem i głównie objawem niechęci do drobnych, przez osobiste ambicye wytworzonych grup parlamentarnych.

Z AUSTRYI.

Sielanka delegacyjna. — Dobry humor delegatów. — Kwestya pojedynku. — Protest młodoczechów i protest niemców. — Fortel hr. Taaffego. — Nowela o sądzie trutnowskim.

„Delegacye spełniły swe zadanie." Frazesem tym rozpoczynała w ostatnich dniach prasa urzędowa i po części liberalna swe artykuły o ubiegłej sesyi delegacyjnej, nie czując widocznie wcale ironii, jaka dla trzeźwo patrzących czytelników mieści się w owych słowach. Określają one bowiem nader trafnie rolę, którą odgrywa pierwsze ciało parlamentarne monarchii austro-węgierskiej i stosunek jego do rządu. Czynność delegacyj ogranicza się istotnie do załatwienia „zadania" — w znaczeniu szkolnem — wyznaczonego im przez rząd. Zadanie to składa się z dwu części: czynnej i biernej. Pierwszą z nich stanowi uchwalenie budżetu wojskowego, drugą — wysłuchanie orędzia cesarskiego i wielkiej mowy ministra spraw zewnętrznych.

Czynność członka delegacyi należy wtedy do najwygodniejszych w świecie. Nie wymaga ono wielkiego wytężenia umysłowego i w razie potrzeby podołałby jej nawet dobrze zbudowany automat. Przytem zarówno rząd, jak i sami delegaci starają się, aby im czas upłynął jak najprzyjemniej. W ciągu sesyi ostatniej mieliśmy: dwa wielkie przyjęcia członków delegacyj przez cesarza, które ze względu na bogate stroje narodowe uczestników uważać można za bale kostiumowe wyższego stylu, dalej cztery obiady w Hofburgu i również tyle u ministra Kalnokego. Obok tych zabaw szumnych same posiedzenia delegacyjne dają doskonałą sposobność do zabawy w ściślejszem kółku. Niewielu czytelnikom zapewne wiadomo, że przy posiedzeniach tych nie obowiązuje zwykła etykieta parlamentarna i że mają one charakter zupełnie familijny. Patrząc na nieliczne grono jegomościów, siedzących około zielonego stołu lub spacerujących po pokoju, rozmawiających półgłosem i palących przytem jak najswobodniej papierosy i cygara, każdy przypuszczałby raczej, że ma przed sobą wesołe towarzystwo starszych panów, oddających się trawieniu obfitego obiadu i bawiących się opowiadaniem nieprzyzwoitych anegdot, niż że znajduje się wobec jednego z najważniejszych ciał parlamentarnych w Europie. Mówcy nie wstają z krzeseł, lecz siedzą. Właśnie jeden z członków zgromadzenia, siedzący po prawej ręce obok przewodniczącego, rozpoczął mowę dłuższą, drudzy słuchają uważnie. Poznać wprawdzie łatwo, że liczy się ze swemi słowami — cedzi on je zwolna i ostrożnie, a czasem, urywając zdanie zaczęte, stara się wygładzić zwrot jakiś, który wydaje mu się zbyt szorstkim lub osłabić twierdzenie, które mogłoby brzmieć zbyt stanowczo; lecz zresztą ton mowy jego nie różni się niczem od tonu zwykłej pogadanki towarzyskiej. A przecież słowa te, wypowiedziane półgłosem, będą jutro rozbierane w całej prasie europejskiej, gdyż wychodzą z ust — hr. Kalnokego. Kreśląc obraz posiedzenia delegacyjnego, muszę wreszcie wspomnieć o suto zastawionym bufecie, przy którym pp. delegaci krzepią się dość często wśród prac ustawodawczych. Koszta tego bufetu ponosi państwo. Snać niezwykła ta gościnność i wygodne zwyczaje, panujące tu, wpływają korzystnie na humor członków delegacyj, gdyż jest on zwykle doskonały. Czytaliśmy np. sprawozdanie z posiedzenia, przy którem jeden z posłów czeskich wniósł do ministra wojny interpelacyę, dotyczącą całego szeregu wypadków, w których szeregowcy i ochotnicy zostali pobici, znieważeni lub nawet ciężko zranieni przez kaprali i oficerów. Minister odpowiedział na skargi te — dowcipami, które przypadły widocznie do smaku większości zgromadzenia, gdyż w sprawozdaniu odnośnem znaleźliśmy często w nawiasie uwagę: „wesołość." Przy niemniej wesołym nastroju odbyła się też dyskusya w innej, wcale poważnej kwestyi, mianowicie o pojedynku. Przed niejakim czasem zwierzchności wojskowe wydały rozporządzenie, zabraniające oficerom rezerwowym należenia do stowarzyszeń akademickich. Główną przyczyną tego zakazu była okoliczność, że w krajach alpejskich utworzyły się w ostatnim czasie stowarzyszenia studenckie z charakterem religijnym, których członkom nie wolno przyjmować pojedynków. Oficer rezerwowy, należący do takiego towarzystwa, może istotnie znaleźć się wobec sprzecznych obowiązków, jeśli „pojęcia wojskowe" wymagają od ów w pewnych wypadkach, aby honor swój zmył krwią przeciwnika. Mimo to zakaz ów, zbyt krępujący wolność akademicką, natrafił na silny opór u młodzieży i wywołał wspólny protest wszystkich uniwersytetów niemieckich w Austryi. Sprawa ta została poruszona na jednem z posiedzeń delegacyjnych, przyczem dyskusya przybrała charakter bardziej ogólny. Bawiono się wyśmienicie, gdyż zarówno minister wojny, jak większa część delegatów pojmowali tę sprawę wyłącznie ze stanowiska humorystycznego, a pierwszy zauważył dowcipnie, iż „przyznaje każdemu prawo nieprzyjmowania pojedynku, byle tylko nie zaczepiał nikogo i sam nie został nigdy zaczepionym." A jednak kwestya ta zasługiwała może na rozbiór, gdyż była może jedynym poważniejszym przedmiotem rozmowy, jaki nasunął się członkom delegacyi w ciągu ich posiedzeń tegorocznych.

Natomiast mówiono wiele o sądzie trutnowskim, o ugodzie czesko-niemieckiej i o zniewadze, jaka spotkała delegatów młodoczeskich, gdy wykluczono ich z komisyj. Pod tym względem przebieg posiedzeń nie odpowiedział zupełnie oczekiwaniom. Spodziewano się ogólnie, że posłowie młodoczescy zemszczą się wielkim skandalem za doznaną krzywdę. Nie brakło im też dobrych chęci, ale przewodniczący tegoroczny, ks. Windischgrätz, pokierował obradami w sposób tak energiczny, że skończyło się wszystko na kilku ostrych słowach.

Sprawa sądu trutnowskiego nie zeszła jednak bynajmniej z porządku dziennego. Owszem, jest ona dziś głośniejszą, niż kiedykolwiek. Niemcy czescy oburzeni bezczynnością rządu po znanym skandalu praskim postanowili zmusić hr. Taaffego do działania. Uczynili oni to za pomocą uchwały na konferencyi posłów niemieckich w Pradze, wzywającej stronnictwo li-

---

5)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Serina, ładna, jasnowłosa, ośmioletnia dziewczęcka siedziała obok matki na stołeczku, czesząc wełnę; Anna i Rakel, dwie najmłodsze, leżały na ziemi, zabawiając się jakąś cichą grą dziecinną. Gunnar zaś siedział przy samej lampie, ciosając coś, co miało utworzyć siedzenie do kabryoletu.

— Pst, ojciec przychodzi — wyrzekł.

— Nareszcie — odparła Anna, lżej odetchnąwszy. — Chyba nie zbyt wcześnie. Postaw kaszę na ogień.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała Marta.

— I powiesz mi, kiedy kartoflanka będzie gotowa.

— Dobrze.

Marta odsunęła kołowrotek i wybiegła. Za nią wyśliznęły się i małe dziewczątka. Ostatnimi czasy bały się poprostu ojca.

Drzwi wchodowe otworzyły się; wycie i grzechotanie po całym domu. Wszedł Enoch, ociężały, powolny, lecz spokojny. Dzięki Bogu; pewnie mu teraz lepiej. Musiał spotkać pastora.

— Długo cię nie było — wyrzekła.

Nic nie odpowiedział. Zbliżył się do stołu i siadł; pewnie był zmęczony.

— Strach, jaka burza w powietrzu — próbowała wszcząć znowu Anna.

— Gniew boży... — odpowiedział.

Siedział cichy, zadumany, jakby we śnie.

Wreszcie powstał i zaczął się przebierać. Lecz kiedy zrzucił wierzchnie suknie i buty, zachciało mu się nagle pójść do łóżka. Dobry znak; Anna cieszyła się tem. Gdyby zasnął...

— W łasce gniew Twój ode mnie odwróć, Panie! — wyrzekł nagle, tak, że Anna drgnęła z przerażenia. Jak zwykle, kiedy chciał spać, zaciągnął kołdrę na głowę; lecz słyszała, jak jęczał i ciężko wzdychał. Odważyła się zapytać, czy go co boli; zapytała powtórnie, dość głośno.

— Nie w ciele — mruknął z pod kołdry.

Siadła, on uspokoił się.

Marta weszła, zwiastując, że kartofle już gotowe, Anna musiała się oddalić się od kuchni. Gunnara wzięła z sobą.

Lecz Enoch tarzał się pod pierzyną i cierpiał na duszy.

Mówił był z pastorem i to na kilka krótkich chwil pomogło. Ale na drodze ku domowi znowu mu się pogorszyło. „Winien jest śmierci Jezusa, ciąży na nim ta krew święta..." W tym grzechu śmiertelnym tkwiło coś, czego oni nie pojmowali. Słowa: „niema dlań odpuszczenia, ani na tym świecie, ani na innym" — słowa te musiały mieć całkiem szczególne znaczenie. Pastor objaśniał je wprawdzie na swój sposób, ale... Jakże tu polegać na pastorze, który prawił tylko o nauce, nie zaś o duchu.

Lęk opasywał go tak silnem ramieniem, Enoch okrył się potem.

W głębokiem strapieniu wołał do Boga — czyliż jednak niema dla niego ratunku! Czyliż Jezus nie ulituje się nad nim i za nim się nie wstawi? Nie błagał bynajmniej o niebo dla siebie; nie spodziewał się wcale miejsca wśród świętych; byleby mu wolno było stanąć sobie u wrót niebieskich, byleby zdołał znaleźć sobie kącik jakiś, w którym by czuł się bezpiecznym.

Zrobiło mu się nagle tak dziwnie! Czy był w swojem ciele, czy też po za niem — nie wiedział; jednak nie spał... I widział — widział...

Niebo było takie czarne, jak ziemia. W głębiach huczało morze. Wszystkie okręty i czółna uderzały o ląd i rozbijały się. Lewiatan rzucał się, niby smok wielki, a z oczu jego buchał płomień, z paszczy jego dym. A głos zpoza światła mówił: „Stało się."

beralno-niemieckie w parlamencie do opozycyi przeciw rządowi w razie gdyby on nie załatwił sprawy trutnowskiej rozporządzeniem administracyjnem. „Niewzruszonym według naszego zdania obowiązkiem rządu, świadomego swej godności i swego celu, jest dać zupełne zadośćuczynienie za ten akt brutalnego gwałtu mocą administracyjnego rozporządzenia, któreby przywróciło powagę projektu rządowego, wyrzuconego bezprawnie z obrad sejmowych. Domagamy się zatem, aby sąd w Trutnowie utworzony został bezzwłocznie; w przeciwnym razie oczekujemy z całą pewnością, że nasi deputowani wobec opornego zachowania się rządu, zajmą najskrajniej opozycyjne stanowisko.“

Styl tej odezwy, jak widzimy, jest nader stanowczym. Czy znalazłby się jednak w danym razie dość silna wola dla przeprowadzenia groźby, o tem wątpić należy. Nie przestraszył się jej też hr. Taaffe i zabrał się bardzo flegmatycznie do zażegnania burzy niemieckiej. Środek obrany przezeń w tym celu, jest zdumiewająco prostym. Przypominam, że do utworzenia nowego sądu może rząd przystąpić tylko po zasięgnięciu poprzednio opinii sejmu krajowego. Spornem jest, czy ma on do tego prawo i wówczas gdy sejm zażądanej opinii odmówi. Prawnicy twierdzą, że byłoby to naruszeniem zasadniczych ustaw państwowych, ponieważ one nie wspominają wcale o takim wypadku.

Aby zapobiedz wszelkim sporom pod tym względem hr. Taaffe zaproponował Niemcom uzupełnienie ustawy. Mogłoby ono zostać przeprowadzone jedynie za pomocą noweli, orzekającej ogólnie, że w razie, gdyby sejm krajowy na zapytanie rządu, w ciągu pewnego czasu nie odpowiedział, rząd może utworzyć sąd administracyjnem rozporządzeniem. Nowelę tę przedstawionoby parlamentowi w jesieni.

Propozycya ta wprawiła przywódców niemieckich w nader kłopotliwe położenie. Nie mogli jej odrzucić w imieniu stronnictwa swego, które przeciwnie jako liberalne musi przyznać słuszność rządowi, gdy ten nie chce rozszerzać swych przywilejów na podstawie wątpliwego ustępu ustawy, lecz stara się usunąć wątpliwość na drodze parlamentarnej. Z drugiej strony jednak musieli widzieć jasno, że zamiast pewnego zysku, jaki dałoby im rozporządzenie administracyjne, otrzymali widoki bardzo niepewne, bo zależne od uchwały parlamentu, której dziś nikt jeszcze przewidzieć nie potrafi.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Izba francuska znowu dała widowisko wstrętne, uwłaczające najskromniejszej powadze parlamentu. Od czasu skandalu panamskiego na jej ścianach osiadły bakterye zarazy moralnej, które przenikają powietrze i przedostają się do płuc tego ciała. Wszyscy myślą tylko tem, jak by innych błotem umazać i zohydzić już nie w oczach narodu, ale — dzięki telegrafowi — w oczach całego świata cywilizowanego. Związana z warchołami Izby prasa marzy ustawicznie o „odkryciach“ przekupstwa, o zdobyciu „dowodów,“ stwierdzających winę tego lub owego deputowanego, o zrobieniu piekielnej wrzawy, wywołaniu gorszących zajść, bijatyk, pojedynków i naturalnie o szerokiej rozprzedaży brudnych arkuszy papieru. Ostatnia awantura należy do ohydniejszych. Wydawca wrzaskliwego dziennika *Cocarde* zaczął przez pewien czas ogłaszać, że udało mu się ukraść kilka ważnych dokumentów z szafy poselstwa angielskiego. Była to uwertura do szpetnej sceny. Na jednem z posiedzeń, gdy Clemenceau wszedł na trybunę, naprzód bulanżyści a następnie inni deputowani zaczęli go obrzucać gradem obelg: łotr, zdrajca, szpieg płatny, agent itp. Blady z gniewu i wzruszenia, kilka razy probował mówić — nie dopuszczono go do głosu. Nazajutrz wszyscy spodziewali się wyjaśnień tej napaści, tj. złożenia dokumentów. Przyniósł je Millevoye i po załatwieniu formalności zaczął przedstawiać. Ale zaledwie przeczytał jeden, gdy Izba wybuchnęła śmiechem i złorzeczeniami. Jak poprzednio osypała zniewagami Clemenceau, tak teraz jego oskarżyciela, który napchał sobie tekę niedorzecznemi falszerstwami. Łotr, potwarca, za drzwi! — krzyknięto ze wszech stron. Zdruzgotany Millevoye składa mandat, za nim czyni to samo Deroulede a Izba uchwala napiętnowanie oszczercy. Nie potrzebujemy tłomaczyć, jakiem echem odbiły się w kraju te odrażające sceny. Ze śledctwa okazało się, że żadnych dowodów nikt poselstwu angielskiemu nie skradł, że je podrobił niejaki Norton do współki z wydawcą *Cocarde* i że cały ten spisek był najnikczemniejszą spekulacyą.

Rząd francuski, napastowany za pobłażliwość względem przebywającego w Anglii Herza, wysłał tam dwu swoich znakomitych lekarzów, ażeby naocznie przekonali się o stanie jego zdrowia. Po powrocie stwierdzili oni, że Herz jest istotnie ciężko chory i wyjechać nie może. Jakoż telegramy donoszą, że on dogorywa.

Anglia poniosła stratę, której my pojąć nie możemy, a która dla niej jest olbrzymią. Podczas manewrów na morzu około Tripolisu pancernik „Victoria,“ uderzony przez drugi statek „Camperdown,“ zatonął. Oprócz admirała Tryona zginęło w otchłani morza przeszło 280 osób. „Victoria“ był jednym z największych okrętów floty angielskiej, posiadał siłę 14,000 koni parowych i kosztował 15 milionów f. szt., czyli około 150 milionów rubli! Z samej jego ceny można wywnioskować, czem był ten kolos i jakie pokładano w nim nadzieje. Smutna wiadomość spadła jak grom w Anglii. Królowa odwołała bale, naród okrył się żałobą, cesarz niemiecki przesłał wyrazy współubolewania.

Według ostatnich doniesień gwiazda bilu irlandzkiego przygasła. Podobno Gladstone zraził irlandczyków swoimi projektami finansowymi. A konserwatyści nie przestają pod nim kopać dołów. Być więc może, że sędziwy idealista zejdzie do grobu przed spełnieniem swego marzenia.

Po smutnych doświadczeniach Włochy przedsiębiorą reformę swych banków. Chodzi głównie o to, ażeby z nich usunąć miazmaty zgnilizny i ażeby zapobiedz przylepianiu się złota do rąk występnych. Jest to jeszcze większa mrzonka, niż — bil irlandzki.

Wtedy na niebie, na północy, ukazała się ciężka łuna. I morze zakipiało żółtą pianą, hucząc niby wielka siła grzmotów. Przerażony, odwrócił się; wtedy buchnęły płomienie z zachodniej strony i z fjellu. Paadalskula płonęło, Skarefjell płonął; zapalała się góra za górą, pękały jedna po drugiej, a z bezdennych szczelin i czeluści strzelały grube, żółte płomienie. I znowu odwrócił się; wtedy w szalonej rozpaczy spostrzegł, że z morza podnosił się dym. Dym gęsty, czarny. Dym ten wyrzucił z siebie straszną łunę, która zataczała się ku niebu. I ziemia usunęła mu się z pod nóg; lecz płomienie ogarnęły go ze wszystkich stron.

Bezprzytomnie opadł na poduszki, wydając długi krzyk. Na ognistem morzu płynął szatan, niby brunatny wieloryb i węszył... Wtedy Enoch zdobył się na siłę przywołania Pana Jezusa. I w tejże chwili pochwycił jakąś dłoń. Była to niby jedna tylko ręka. Ale w ręce tej była dziura, jakby po gwoździu.

W kuchni Anna posłyszała krzyk, tak przeraźliwy, że krew w niej zastygła... Kolana tak się pod nią ugięły, że o mało nie upadła. Doleciało ją jeszcze kilka krzyków — pobiegła. Enoch leżał pod kołdrą i jęczał. Przyśniło mu się zapewnie coś strasznego. Ale oto wszystko ucichło. Stała nad jego łóżkiem, sztywna, wylękniona, słowa dobyć ze siebie nie mogąc; długo nasłuchiwała, spostrzegła wreszcie, że się uspokoił. Wyszła. Marta i małe stały u drzwi. „Czy ojciec chory? — zapytał Gunnar. Zdaje mi się, że to przejdzie — z pomocą boską.“ Wrócili znowu do kuchni, zostawiając jednak drzwi otwarte. Anna dostała dreszczy, musiała spocząć i napić się wody.

A Enoch leżał i modlił się zupełnie inaczej, niż dawniej. Serce jego napełniło się nadzieją, silniejszą, niż wszelka moc szatańska; bo oto widział ową ranę po gwoździu.

Nareszcie Bóg się ulitował. Nareszcie Enoch otrzymał odpowiedź, znak, taki pewny, że wątpić już nie mógł. Niezmierny spokój wstąpił do jego udręczonej piersi. Cały jego umysł pałał modlitwą; zwątpienie i niedola stopiły i spaliły się w tej ognistej fali; modlił się nie słowami, lecz głębią gorącego serca.

Usłyszał w sobie głos, pewny i stanowczy.

— Bądź dobrej myśli, synu mój; grzechy Twoje są ci odpuszczone!

Enoch powstał.

Więc stało się, spełnił się cud wielki, Enoch był nawrócony.

Zmieszany, ale rozradowany, ukląkł przed lampką tranową i zaczął śpiewać psalm dziękczynny.

Anna spoglądała na męża, prawie z przestrachem. Był bardzo blady, na twarzy zaś jego rysowało się coś, co ją zastanawiało— dziwnie jakoś nieruchomy uśmiech, rzekłbyś uśmiech zachwytu; lecz na oczach i licach znać było, że płakał.

VII.

Nie myślał nigdy, iżby życie w wierze mogło być tak błogiem. Czytał o spokoju, który zawłada całym umysłem; lecz były to dlań słowa bez treści. Owo zbudzenie uważał za plagę, której się ludzie poddają, aby uniknąć piekła; radość, o której mówili, pewność i niebiański spokój — to chyba fantazye, coś, co sobie uroili, jakoby pociechę za to dobro, które na tym świecie nie stawało się ich udziałem.

Ach, że też nie miał był więcej rozumu! Ach, że też srożej gniewać się na siebie nie mógł za to, że przez tak długi czas pozbawiał się tej przedziwnej błogości!

Teraz czuł i widział. Nietylko posiadał wiarę w zbawienie; był już zbawiony. Grzech jego pogrążył się w morzu i nigdy już nie wypłynie. Enochowi zdawało się, że jest jako wełna biała, jako śnieg błyszczący; dyabeł nie mógł go już chwycić swoimi palcami. A stąd płynęła radość, wesele i ufność niewypowiedziana — nie było na świecie nic równie pewnego!

I oto Enoch, stał się człowiekiem nowym, przerodzonym, wbrew własnemu rozumowi. Co dawniej było mu rozkoszą, wstrętem go dziś napełniało; co dawniej wydawało mu się głupotą, dziś było dlań

BADANIA NAUKOWE.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Hipolit Wojcicki. *Praktyczna gramatyka języka polskiego.* Warszawa 1892.

Stanislaw Brzozowski. *Gramatyka języka polskiego.* Warszawa 1893.

Autor, wydając na świat pracę swoją, zamierzył w sposób jasny i treściwy wyłożyć zasady języka polskiego. Zdaje się, że p. W. oprócz młodzieży miał także i starszych na uwadze, zwłaszcza tych, którym brak czasu na specyalne w lingwistyce badania. Pochwalamy dobre chęci, zwracamy tylko uwagę, że źródło, o którem p. W. w przedmowie wspomina, nie może być uważane „za najodpowiedniejsze wobec dzisiejszego stanowiska języka.“

Gramatyką nazywa p. W. wykład praw, jakiemi rządzi się język co do głosek, wyrazów i zdań. Określenie dosyć zawiłe jak na podręcznik praktyczny. Język nie zna praw, rozwija się on swobodnie, niezależnie zgoła od uczonych; prawa takie zagwoździłyby w trumnie jego życie. Dziś np. tworzą się formy takie, jak „brudnowski“, zamiast „brudzieński.“ Działa tu upodobnienie (analogia) do przymiotników: czerniakowski, wilanowski itp. Nikogo już teraz nie razi „kutnowski“ zam. rzekomo prawidłowego „kucieński,“ „kazimierzowski“ zam. „kazimierski,“ a nawet pierwotniej „kazimirski.“ Są to tylko zjawiska, będące wynikami tworów doborowych, działających w wytwarzaniu się dźwięków i form gramatycznych, a nie jakieś prawa, mające być przedmiotem wykładu gramatyki. Ze względu na psychiczną i fizyczną stronę języka, gramatyka jest nauką mówienia samego oraz wymawiania jednostki w stosunku do plemienia, narodu itp. Mówienie jest stroną psychiczną języka, skutkiem czynności mózgowej; dlatego zawiera się w osnowni (morfologii), odmienni (deklinacyi i konjugacyi), składni i semazyologii, tj. nauce o znaczeniu wyrazów. Wymawianiem wyłącznie zajmuje się fonetyka, której autor najmniej poświęcił miejsca, bo zaledwie cztery niespełna stronniczki.

P. W. utrzymuje, że samogłoski „są to dźwięki wymawiane bez spółudziału ust.“ A gdzież są wargi, język, twarde i miękkie podniebienie, wogóle narzędzia mowne, czynne bardzo w tworzeniu się samogłosek, choć główną ich podstawą jest krtań? Azali nie lepiej byłoby powiedzieć, że samogłoska jest dźwiękiem dźwigającym przycisk zgłoskowy, czem się istota jej jasno określa i dostatecznie od spółgłoski wyróżnia? W przykładach: si*e*dzę, si*o*dło, si*a*dać, bi*e*rze, bi*o*rę, br*a*ć jest tylko upodobnienie samogłoski; podobnież j*a*dę — j*e*dziesz, śmi*a*ły — śmi*e*lszy, gdzie nie masz znowu żadnego zwątlenia. Nie wiem, dla czego autor drżące, przednio-językowe *r* nazywa podniebiennem? Należałoby w takim razie wykazać cały proces fizyologiczny tworzenia się tego dźwięku. Spółgłoska *h* nie jest rodzimą, lecz przybyszową, bądź z języków pobratymczych (ruskiego, czeskiego), bądź germańskich i romańskich. W języku polskim jest tylko *ch*, które w wymowie różni się od małoruskiego i czeskiego *h*; to pierwsze istnieje tylko w piśmie i nie stanowi wymiany *g*, ani nawet przydechu, bo lubo się pisze *H*anna, wymawia się jednak *Ch*anna itp.

Zasługuje na pewne uznanie podział rzeczowników w tej gramatyce, a mianowicie na 1) osobowe (matka, syn, pies, cielę); 2) rzeczowe (stół, pióro); 3) własne (Józef, Wisła) i pospolite (syn, miasto), tudzież 4) jednostkowe (sąsiad, dziedziniec) i zbiorowe (gmin, wojsko, trzoda). Dość szczegółowo autor opracował naukę o deklinacyach i koniugacyach, mniej składnię. Rozbiór tych części wymagałby nader obszernego referatu, gdyż na każdej niemal stronnicy są zdania, w których nie widzimy tak szumnie opiewanej przez autora w przedmowie: „podstawy wyników badań językowych.“

Inny znowu badacz tego rodzaju, p. Brzozowski, mówi w przedmowie: „Pragnąc, by książka niniejsza była nietylko *pożyteczną*, ale przedewszystkiem *użyteczną*, w pracy mojej zamieścić starałem się wszystko, co w dziełach licznych znakomitych i sumiennych badaczy znalazłem.“ Jaką to autor subtelną między przymiotnikami *pożyteczny* a *użyteczny* upatrzył różnicę, dociec nam niepodobna. O ile p. B. korzystał z wskazówek „znakomitych i sumiennych badaczy,“ postaramy się przekonać.

Gramatyka, według p. B., uczy mówić poprawnie i pisać bez błędu, oraz wyjaśnia właściwości i zjawiska języka. Objaśnienie zbyt mechaniczne, zaczerpnięte z Teodozego Sierocińskiego. Nie dorównywa ono określeniu p. W. bądź co bądź, znamionującemu już pewien postęp. Zgłoski (sylaby) według p. B. składają się z liter (?), których jest 32. Oprócz tych liter, są jeszcze dźwięki, do których autor zalicza *cz, dz, dź, dż, ch, sz, rz.* Dowiadujemy się wielu ciekawych rzeczy i to w roku 1893! Okazuje się, że np. *a, ą, b, c, d* itd. są litery, *cz, dz, dź, dż* itp. dźwięki. Wiadomo każdemu, że litera jest tylko znakiem dźwięku, p. B. zaś jedne dźwięki nazywa literami, inne zaś dźwiękami. Radbym zadowolić się pierwszemi dwoma stronnicami, jak to uczynił pewien krytyk, o którym autor w przedmowie wspomina, ale cóż, obowiązek zmusza nas do tracenia czasu na dalsze czytanie. Zdobywszy sobie te dwie dane z fonetyki p. B. oczekujemy wiedzę swoją jeszcze trzeciem pewnikiem, że zgłoski (sylaby) dzielą się na samogłoski i spółgłoski. A więc nie dźwięki, lecz połączenia ich w zgłoski wywołują dopiero rzeczony podział. Mówiąc o samogłoskach twardych i miękkich, autor nie odróżnia jednak twardego *e* (jak*e*m, jest*e*m, był*e*m, ps*e*m, ł*e*b itp.) od miękkiego, wyrażanego w postaci *ie* (z*ie*lony, koni*e*m itp.). Nauka o deklinacyach przypomina Muczkowskiego, który nie umiejąc czegoś objaśnić, ratuje się wyjątkami. O podziale na deklinacye i koniugacye wolimy zamilczeć, gdyż o tem wspominać nie warto. Dla autora nie istnieją nowsze w tym przedmiocie i dość liczne studya. Nawet prace Miklosicha i Schleichera są mu zgoła nieznane. To też z czasowników *kłóć* i *próć* a raczej *kłuć, pruć*, autor na zasadzie podwójnej tych słów w sposobie bezokolicznym pisowni tworzy dwa odrębne czasowniki *kłuć* (kłuję, klujesz) i *kłóć* (kolę, kolesz), podobnież *pruć* (pruję) i *próć* (porę, porzesz). W takim razie wedł. p. B. obok *kolec* powinno być *kłujec* (!).

Nie nadużywając cierpliwości czytelnika, kończymy to sprawozdanie, gdyż praca p. B. nie nadaje się do krytyki. Radzimy autorowi, aby na przyszłość odpowiednio

---

życiem. Zamiast lęku i niepokoju, których własnemi siłami nigdy zwalczyć nie mógł, w sercu jego zamieszkała sama tylko miłość, samo tylko ciepło i radość, sama miłość i siła.

Wstawał rano o piątej; nie należy oddawać się próżniactwu i dogadzać ciału. I Gunnar wstawać musiał, mimo wszelkich płaczów i skarg, mimo że i matka za dzieckiem się wstawiała. Precz z bałwochwalstwem, precz z rozpieszczaniem, precz z słabostkami! Ale Serina dostała odry, więc uszła surowości ojcowskiej.

Pełen radości i wesela brał się Enoch do pracy, która stała się dlań czemś nowem zupełnie. Nie była to już pańszczyzna, męka, udręczenie dla mamony, lecz była to służba boża.

Duch wskazał mu, że wszystko, co się znajdowało w gospodarstwie, nie jego było własnością. On był tylko dłużnikiem, zarządcą.

Nie dość tego: pozostawała do spełnienia rzecz najtrudniejsza... Czyż nie napisano, że trzeba wyrzec się wszystkiego „wszystkiego, co nam jest drogiem na świecie“?

Wyrzekł się więc żony, i dzieci, i krewnych, i przyjaciół.

Potem zaczął rozmyślać nad sobą i nad domem swoim: z czegoby jeszcze zrobić mógł ofiarę?

A więc pomyślał o tytoniu; wrzucił go do ognia. Jednak tego nie dosyć.

Odprzysiągł się od wszelkich uczt i pohulanek; nigdy już wódki nie skosztuje, nigdy skrzypiec słuchać nie będzie, nigdy z ludźmi nie wda się w rozmowę, chyba o rzeczach poważnych, nigdy książki świeckiej do rąk nie weźmie.

Wszystkie zaniósł do kuchni i chciał je wrzucić do ognia. Anna przestraszyła się. Przez cały dzień z trwogą i niepokojem spoglądała na męża. Stał przez chwilę, jak gdyby się namyślając. Poszedł wreszcie z książkami na strych i cisnął je do skrzyni z chrustem.

Na strychu wisiały stare ubrania ze skóry, na które oko jego padło; wtedy zbudziła się w nim myśl nowa.

Spojrzał na siebie: suknie, które nosił, były prawie świeże. Zawsze wmawiał sobie, że jest szykownym chłopem; chciał wyglądać strojnie, zgrabnie... Uciecha oczu, próżność... precz z temi błahostkami i tą grzeszną rozkoszą! Wdział ubranie skórzane.

Spodnie były skurczone, w kolanach powypychane; kaftan za ciasny, połatany i zużyty; lecz może to nie dosyć dla tego grzesznego cielska!? Małą, okrągłą czapkę futrzaną z daszkiem i brzeżkiem z czarnej skóry baraniej włożył na głowę.

Zrobiło mu się tak dobrze i wesoło. W odzieży tej był jakoby bezpieczniejszym jeszcze od natarczywości szatana.

Anna, wszedłszy z kuchni, tak się przestraszyła, że aż zbielała. A to co za włóczęga? To Enoch!

— Ależ na miłość Boga, co ci do głowy przyszło?

— Nie będziesz wzywał imienia Boga Pana nadaremno — odrzekł.

— Chyba nie zechcesz wyjść w podobnym stroju?

— A nie wiesz-że ty, iż Bóg ze skor sporządził suknie Adamowi i żonie jego i że ich w nie przyodział? Sądzę więc, że i dla nas skóra wystarczy.

W całym domu zaprowadzono nowy porządek. Anna musiała ustępować. Na każde sprzeciwienie się odpowiadał cytatami z Biblii. Onieśmielał zawsze — tearz wzbudzał poprostu przestrach. Był jakby opętany. Cokolwiek mówił, brzmiało tak, jak gdyby słowa jego pochodziły z innego świata; zwykłe myśli i sądy ludzkie wcale się go już nie imały. Pod spojrzeniem jego białek, pod wyrazem jego nieruchomej, zimnej twarzy Anna stawała się bezsilną, bezradną, jak gdyby kazano jej mówić do ściany. Czasem zdobywała się na płacz; ale łzy sprawiały takie samo wrażenie, jak argumenty.

— To twoje łzy — mawiał — dowodzą właśnie, że to wola boska.

Mieszał się do najmniejszych drobnostek. Co dla nas jest „wielkie“ lub „drobne“, nie jest „wielkiem“ lub „drobnem“ u Pana; wszystko jest dlań drobnem i wszystko wielkiem stać się może.

do przedmiotu swojego się przygotował. Niezbyteczną byłaby znajomość kilku języków słowiańskich, bez której niepodobna podnosić głosu w kwestyach naukowych. Tylko praca sumienna pożyteczne wydać może owoce.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Barzellotti, *Italia mistica e Italia pagana.* — Pierre de Nolhac, *Petrarque et l'Humanisme, d'après un essai de reconstitution de sa bibliothèque,* Paryż, 1893.

Carducci w pogaństwie widzi źródło piękna. Poeta włoski jest umysłem nawskróś paradoksalnym, ale toż samo zdanie słyszymy z ust wielu innych poważnych pisarzy, jak Brede, Mariano, najlepiej wszakże uzasadnione zostało przez profesora Barzellotti. Według niego, Włochy pozostały dotychczas zupełnie pogańskie. Żyjąc w oczarowaniu blasków i kształtów, włoch mało się troszczy o niebo i nie jest skłonny do zagłębienia się w sobie. Ziemia jest zbyt piękna, a świat ducha zbyt mglisty. Jego wiara plastyczna i barwna chce wciąż przedmiotu, w który mogłaby się wcielić. Uwielbia on Boga zmateryalizowanego w pięknym posągu. Jego święte muszą być przedewszystkiem ładnemi kobietami. Oto dlaczego, między innemi, naród ten stworzył Odrodzenie, a nie Reformacyę. Jego kościoły nie wznoszą się do nieba polotem wież gotyckich, skomplikowanych i tęsknych, jak nasze zwątpienia i boleści; lecz są to pomniki równowagi i harmonii, upiększone posągami, freskami i kwiatami. Papiestwo zręcznie wyzyskało poganizm włochów dla swych celów, nie walcząc z nim, lecz czyniąc podścielisko artystyczne dla nowej wiary. Dało temu ludowi, zachwyconemu pięknem ciała ludzkiego, malarzów i rzeźbiarzów, obrazy i posągi. Humanizm ujęło w swo ręce jako oręż i poddało naród hygienie duchowej, zgodnej z jego życzeniami, wymagającą odeń czynów nabożności zewnętrznej, grupując ją w ceremoniach publicznych itd. Religia pozostała dla włocha tem, czem była dawniej dla rzymianina — węzłem społecznym, aktem uroczystym, legalnością uświęconą. Stare świątynie zostały niezniszczone, również jak posągi i bogowie, których tylko na nowo przechrzczono. W niektórych miejscowościach — np. w Monteleone — uwielbianą jest jeszcze św. Venus. Przesądy grekorzymskie pozostały nienaruszone w nowym kulcie. Niema zabobonu pogańskiego, któryby nie posiadał równoznacznika w obecnym rytuale włoskim.

Jedni pisarze, jak Combe i Mariani, uważają ten stan ducha za istotną plagę, inni natomiast, jak Carducci lub Barzellotti, uważają otwarty powrót do poganizmu za wyjście najbardziej naturalne.

Ten stan rozdwojenia duchowego zauważyć się daje na Petrarce, „pierwszym człowieku nowożytnym" — jak go obecnie nazywają — o którym Nolhac napisał bardzo ciekawe studyum, opierając się na bibliotece poety, na książkach, które czytywał i pozostawiał w nich swe uwagi. Jest to dzieło czystej erudycyi, a jednak cieszy się rozległem powodzeniem, gdyż zadawala nietylko uczonych, ale literatów, artystów i wszystkich wogóle, co się interesują dziejami duszy ludzkiej, jako owoc długich i żmudnych prac, ujęty w formę dostępną i wdzięczną.

Istnieje obecnie masa petrarkistów, rozrzuconych po świecie całym, którzy z ciekawością śledzą wszystko, co dotyczy życia wspaniałego marzyciela. Nie jest to już mdłe naśladownictwo „Canzoniery," lecz zainteresowanie czysto psychologiczne. Wierszokleci, małpujący Petrarkę, zachwycają się jedną tylko stroną jego dzieła i to nie najważniejszą. Jeżeli miłość Laury odgrywała w prywatnem życiu poety rolę doniosłą, to nie znajdujemy najmniejszego jej śladu w życiu jego publicznem — a Petrarka wywierał wpływ olbrzymi na większość ludzi wybitnych swego wieku. Ta strona człowieka nie była dotychczas znana, zamarła ona wraz z pokoleniem, którego był czarem i ozdobą. Rzecz dziwna, w chwili gdy Petrarka znajdował się u szczytu swej sławy, w latach 1350—1360, gdy królowie i książęta dobijali się o jego obecność, gdy wszyscy go uwielbiali i poszukiwali jego znajomości, żadne z jego dzieł nie było jeszcze ogłoszone. Słynność ta była skutkiem czaru osobistego, wywieranego przez poetę bądź obcowaniem, bądź listami. Jego olbrzymia korespondencya, znana obecnie i „Secretum," będące rodzajem spowiedzi, odkrywają nam zupełnie tę duszę w całej jej złożoności, która czyni Petrarkę jednym z ulubieńców chwili obecnej. Było to potężnie pałające ognisko, które pochłaniało i pożerało masę życia, rzucając wokoło wspaniałe blaski, ale też masę kopci i swędu. Osobistość to pochłaniająca w najwyższym stopniu, zajęta wciąż wyłącznie sobą, drgająca w każdym wierszu potęgą niespokojnego indywidualizmu, który występuje przed nami w zupełnem obnażeniu — i w tem może kryje się główne źródło jego wpływu. „Ktokolwiek zajmował się dłużej — powiada Nolhac — Petrarką i przeniknął w głąb tego ducha, przywiązuje się doń prawdziwą miłością. Wielki poeta-humanista tak jest nam pokrewny, iż niepodobna oprzeć się jego urokowi. Stąd pochodzi szczery entuzyazm i głęboki kult obecnych petrarkistów."

Do wielkich stron poety należała, obok żądzy prawdy i sławy, jeszcze namiętna miłość starożytności. W jego oczach świat rzymski nie zniknął: umieścił tam wszystkie swe ideały, nietylko literackie, ale i społeczne. Cicero, Seneca, Scipio — to dlań żywe osoby, z któremi rozmawia, obcuje i odczuwa ich namiętności. Są dlań bardziej realnymi, niż ludzie jego czasu, których zapoznaje i obejmuje wspólną i nieograniczoną pogardą. Wieki średnie są dlań okresem najobrzydliwszego barbarzyństwa, a wszystkie zdroje światła i prawdy tryskają tam, w Romie starożytnej, przed kilkunastu wiekami. Jego badanie świata klasycznego nie było pracą erudyty, lecz zachwytami kochanka, polotem duszy niespokojnej, żądnej prawdy, spragnionej ideału. Są to wylewy liryczne, wykrzyki entuzyazmu, namiętne sarkania i czułe wyrzuty— ożywiona rozmowa z towarzystwem zamarłem i oddalonem o kilkanaście stuleci. Był jednym z twórców Odrodzenia — miał wielki udział w rozpoczęciu studyów rzymskich i greckich, a także w rozwoju umysłowym i moralnym społeczeństw nowożytnych. Ale, jak rzekliśmy, ten ojciec humanizmu tem się różni od humanistów, iż ci szukali w świecie klasycznym tylko ideału literackiego, on natomiast — społecznego i moralnego. Nietyl-

---

Wszystkie czyny powinny zdążać do tego, aby człowiek uczył się samozaparcia. „Umęczajcie ciało, jego żądze i rozkosze." Strzeżmy się „obżarstwa i pijaństwa"; wstrzymujmy się od wszystkiego, co jest „uciechą oczu, uciechą ciała i życiem pychy." Nigdy nie dogadzajmy sobie tłustym lub silnym pokarmem, aby nie podrażniać podniebienia przez rozmaitość lub sztuczność jadła. Żywność najsuchsza, najchudsza jest jeszcze zbyt dobrą dla tego plugawego worka, dla tej otchłani grzechów, co się ciałem zowie. Nie powinniśmy sił szukać w korycie, jak świnia. Raz dziennie ciepły posiłek, w niedzielę — ani razu; niedziela — to dzień spoczynku — tak w kuchni, jak i w izbie.

Niech nam wystarczy i niech się nam podoba to, co rośnie na naszej ziemi. Nie należy nigdy pochlebiać ciału za pomocą żywności kupionej; a zwłaszcza wyrzec się winniśmy tej kawy, którą w ostatnich czasach ludzie tak namiętnie piją. Gdyby Bóg chciał, abyśmy pijali kawę, kazałby jej rosnąć we własnym naszym kraju.

To samo odnosi się do odzieży i sprzętów domowych. Kupne przedmioty — to próżność i rozkosz dla oczu. Również błędnem jest powlekanie sukna lub innych rzeczy barwą; naturalną farbę, którą stworzył Bóg, winniśmy uważać za piękną. Kto nie chce nosić białej odzieży, może kupować czarne barany i z wełny ich prząść sobie szaty. A zresztą powinniśmy nosić skóry, jako przyodziewek, który sam Pan dla nas sporządził.

Anna dała spokój wszelkim sprzeczkom, gdyż do niczego nie prowadziły. Bzik, który go tak opadł, przejść musiał sam z siebie.

VIII.

Zrobiło się cicho w domu.

Hans odszedł; Marta chciała odejść jaknajprędzej; wszyscy zgnębieni, milczący. Lecz Enoch stukał postołami po całym domu, to tu, to tam, a skórzane spodnie trzeszczały i skrzypiały — niby szepty jakieś po kątach. Powietrze było szare od śniegu, który padał, a ziemia leżała zmarznięta, zdrętwiała, martwa, pokryta czarnemi plamami i błotem brudnem.

Ludzi prawie nie było widać. Jak gdyby się bali. Różne opowieści obiegały o Enochu Haawskim *). Z chłopów nie zachodził nikt prócz Pera, ten nie zląkł się nawet w jesieni wypadku, który przytrafił się Napolonowi. Lecz i bogobojność Pera wkrótce zasnęła, a wtedy i on przestał przychodzić. Czasem tak bywało, że Anna radowała się, gdy zajrzał do nich jakiś członek przytułku biedaków lub bodaj żebrak. Zawsze to była rozrywka.

Stara Guri z parafii stała się bardzo pożyteczną; od niedawna weszła w nią światłość wewnętrzna, mogła tedy mówić z Enochem. Była ułomną, chorowitą, na jedno oko ślepą i kulawą; ale rozum miała jeszcze. Pozostawała u nich przez tydzień i nieraz podczas długich, szarych godzin, podczas ciężkich wieczorów zagajała z Enochem rozmowę. Nieraz prowadzili też dysputy.

Czasem zachodził któryś z przyjaciół starego Hauge'go. Łagodniejsi byli od Enocha, więc Anna myślała, że rozmowa z nimi dobrze mężowi jej zrobi. Zresztą zawsze się z nim zgadzali. Był wprawdzie pod wielu względami zbyt surowym — twierdzili.

Pewnej niedzieli wieczorem przyszedł Lars Danielsen z Naes. Anna nabrała otuchy. Jeżeli ten pokona Enocha, dużo się zmieni! Bo Lars był światły i mądry, będąc zarazem pobożnym. A nadto był przyjemnym, łagodnym i posiadał szczególny dar obcowania z ludźmi. Zaczęli się sprzeczać z Enochem, o niejedno ostro się pokłócili, zwłaszcza „o wolność ewangieliczną."

Ostatecznie stali się sobie wrogami.

(D. c. n.).

*) Wiadomo, że chłop norweski nosi nazwisko swojej zagrody.

ko życie spędził śród dzieł rzymskich, ale wraz z Colą di Rienzi był wmieszany w awanturę polityczną, opartą na marzeniu o starożytności.

Ale ten przodek humanizmu był zarazem człowiekiem średniowiecznym, pomimo olbrzymiej pogardy, którą odczuwał dla okresu od IV do XIV st., wymazując go zupełnie z historyi, gdyż nic wrzekomo godnego uwagi nie stworzył. To rozdwojenie jest zresztą tylko oznaką głębszego rozdarcia, które w duszy jego spostrzedz można. Odnajdujemy w nim istotnie dwu ludzi zupełnie sprzecznych: tego, którym się być mniema i innego, którym był w rzeczywistości. Zasady jego surowej filozofii idą torem odmiennym od jego namiętności. O najmniejszą błahostkę rozdziera on płaszcz stoicyzmu, odkrywając sekciarza politycznego o potężnych gniewach, przesądach i nienawiściach. Wygłasza, iż dla mędrca każdy kraj jest ojczyzną, a w rzeczywistości uważa wszystkie ludy za barbarzyńców, oprócz włochów. W imieniu rozumu zwalcza astrologię, ale w roku „fatydycznym“ 63-im czuje niepokój olbrzymi, prawie strach, a i w poezyach jego odnaleźć można wiele zabobonów astrologicznych. Gardzi tłumem i jego sądami, ale najmniejsza krytyka doprowadza go do wściekłości. Pod jego zdaniami kryją się wciąż uczucia stronnicze. Nawet na swych ulubieńców starożytnych spogląda oczyma i przesądami człowieka XIV w. Uwielbia Cezara, jako istotny gibelin, nienawidzi natomiast gallów.

Co więcej dusza partyzanta łączyła się w nim z potężnie rozwiniętem samolubstwem: gdy interes osobisty był zatrącony, Petrarka zapominał o wszystkiem. Charakterystyczny pod tym względem jest list, który napisał do sekretarza Grzegorza XI, gdy mu papież odmówił pewnej łaski. Starzec sparaliżowany, umierający wznosi się, jak widmo na swem łożu, rzucając papieżowi w oblicze, iż św. Piotr kłamał, gdy kogut piał. Ale zupełnie różny na początku pisma: jest to łagodny zwolennik samotności, filozof pełen pogody, który pisze list moralny niewymownej słodyczy — jego wyrzeczenie się świata i pokora są bezgraniczne. Papież mu odmawia — cóż to dla niego znaczy? Czyż nie jest szczęśliwy w niezależnem ubóstwie? Ma wrogów? To i cóż! On myśli już tylko o śmierci i swej duszy. Ale myśl o wrogach zapala w nim niepostrzeżenie krew i to wystarcza, aby wybuchnął. Staje się wielkim w swym gniewie: widzi swych nieprzyjaciół pożeranych przez robaki, palonych przez płomienie — miota się na papieża i zupełnie już niewinnego sekretarza, traci wszelką miarę i tym wylewem ślepej szczerości pokazuje, iż kierują nim tylko interes i urazy osobiste. Zadaje w ten sposób kłam swej filozofii i wymownym tyradom.

Ale oprócz filozofa-humanisty, partyzanta politycznego i samoluba, trzeba odróżnić w jego złożonej fizyonomii jeszcze jeden rys: pośród swych entuzyazmów klasycznych Petrarka pozostaje chrześcianinem. Jeden wielki żal przenika wszystkie jego pisma: cierpi niewymownie, iż bohaterowie starożytności, których tak gorąco uwielbia, nie znali istotnej prawdy bożej. Aby się pocieszyć przypisuje im nawet niejasne jej przeczucie: w tej myśli tłomaczy alegorycznie legendy starożytne — u niego Jowisz ogłasza przyjście na świat Zbawiciela, co w jego ustach nie jest bynajmniej bluźnierstwem. Ten humanista wyłączny szanuje ludzi tylko dla zasług ich ducha: włościanka szepcząca nabożnie naiwną swą modlitwę jest według niego więcej warta, niż wszyscy uczeni i artyści tego świata. Ten poganin, zachwycony pięknem form, bywa zarazem ascetycznym, który chętnie się modli w celach pustelniczych.

Właściwie mówiąc, poganizm włoski zachował dotychczas w znacznym stopniu takiż charakter nawet u głównego swego przedstawiciela, u Carducciego. Jest tu wiele retoryki, frazesu, sadzenia się na nastrój, któremu towarzyszą uczucia czysto chrześciańskie. W znaczniejszym stopniu można to powiedzieć o jego uczniach, do których należą Guido Mazzoni, Giovanni Marradi, Severino Ferrari, Picciola, Zardo, Targioni. Nazdolniejszym z nich jest Marradi. Jego zbiór wierszy p. t. „Myricae“ stara się odtworzyć atmosferę Lukrecyusza i Wirgiliusza, ale to dziwnie się nie zgadza z drobnomieszczańską sielanką rodzinną, która żywiej daleko jeszcze występuje u Mazzoniego. Rzymianie o czemś podobnem pojęcia nie mieli. Są tu i bogowie, i boginie, i morze Tyrreńskie łamiące swe pole o brzegi Etruryi, i lukumoni, i augurowie, ale wszystko to w towarzystwie całej sumy uczuć wytworzonych przez chrześciaństwo. Toż samo powiedzieć można i o „Elegiach rzymskich“ Gabryela d'Aununzio. Ten znowu zachwyca się Owidyuszem i pozuje także na wygnańca: w Sorrento marzy o Rzymie. Dekoracye są starożytne: wille, ogrody, pałace marmurowe pośród laurów, samotne drogi śród lasów sosen, które wydają się zgaszonemi świecami, białe posągi, których marzycielskie dusze czuwają w kamieniu, blade wody jezior otoczonych pniami słonecznemi. Wszystko tonie w złotej mgle oddalonego poganizmu. Ale co nie jest pogańskiem, to tęskne marzenie poety i jego miłość dziwna i bolesna, kwiat zatruty, jednocześnie mistyczny i zmysłowy, wyrosły w cieniu ruin średniowiecznych i zerwany w ogrodach marzenia. Posągi Wenery nie znały tylu złożoności i odcieni, a jej kult wymagał tylko duszy pogodnej i — silnych bioder.

L. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

Berlin, Lehrter Bahnhof.

Jeszcze cała godzina do odjazdu! Gorączka podróży łechce nerwy, nie pozwala usiedzieć na jednem miejscu. Z niecierpliwości odczytuję napisy i reklamy na ścianach. Steryotypowo powtarzają się one na całej przestrzeni od Eydtkunów: te same rozkłady jazdy, ogłoszenia hotelowe, plany linij parostatkowych na Bałtyku i do Anglii. Niewiele mnie one zajmują w obecnej chwili. Ale oto inne. Zdarłbym chętnie po egzemplarzu i przechowałbym na wieki w archiwum bibliotecznem, które obojętnie patrzy na te cenne pomniki dzisiejszej cywilizacyi. Jeden z owych druków, gdyby wszystkie inne dowody zaginęły, wystarczyłby, aby jakiemu społecznemu Cuvierowi przyszłości pomódz do odbudowania brudów naszej epoki, jej pokus i matni. A ci oskarżyciele martwi, te marne świstki papieru wiszą na ścianach każdego ze znanych mi foksalów pruskich; stanęły one przede mną w Eydtkunach, powtarzały swe żale w Królewcu, błagały o spojrzenie w Krzyżu. Teraz na banhofie Lehrteńskim znowu podnoszą swe głosy, a zawsze rzucają przekleństwo na tego samego winowajcę, na Berlin. Przeczytajmy jedno z tych milczących, ale wymownych oskarżeń: „*Heimathshaus*, dawny *Magdehaus* przestrzega przybywające do Berlina młode dziewczęta, aby nie dowierzały nieznanym osobom, które ofiarują swoją pomoc na dworcach lub na ulicy. Zakład za tanie pieniądze dostarczy przytułku, wyszuka zarobku. Do końca 1892 udzielił pomocy 25 tysiącom dziewcząt.“ Dalej idą wskazówki, jak przyjeżdżająca do stolicy dziewczyna ma odszukać przytułek, a na dole widnieje podpis „towarzystwa obyczajności publicznej.“

Nieco dalej na czerwonym papierze to samo mówi inne stowarzyszenie — „przyjaciołek młodej kobiety.“ A tam znowu woła podobnym głosem jeszcze inny blankiet...

Jak wymowne są te głosy, które wyszły z pod maszyny drukarskiej! Wielkie miasto wygląda z pod nich, jako burzliwy wir morski: porywa zbliżającego się doń rozbitka, ciągnie na dół, wyrzuca na wierzch, znowu chwyta, póki nie zatopi go w swoim odmęcie. A czyha ono rozmaicie: w postaci rodaka na rodaczkę — znam zacne przyszłe podpory społeczeństwa, które zanim wiek im pozwoli wziąć się do „obywatelskiej“ działalności, tymczasowo zajmują się tego rodzaju obławą; starej poczciwej pani na służącę, młodej towarzyszki na towarzyszkę. Podczas przeszłorocznego pobytu w Berlinie nieraz wypadało mi bywać wieczorem na dworcu przy ulicy Fryderyka. Niemal zawsze spotykałem młode dziewczę, prawie dziecko, z twarzyczką niezmiernie sympatyczną, naiwną. W swojej ubogiej sukience uczyniła po raz pierwszy na mnie wrażenie zabłąkanej istoty. Później dowiedziałem się, że w skórze niewinnej ukrywał się pająk, motający w swoje sidła ofiary, które przybywały do Berlina... Mężczyzna wielkomiejski nie potrzebuje dzisiaj czynić zabiegów, zwolniono go od tej powinności, obowiązującej samców w całym świecie zwierzęcym. Ongi musiał posiadać chociaż siłę brutalną, ażeby przywłaszczyć sobie brankę; dzisiaj może nie mieć żadnej zalety osobistej, byleby tylko złoto brzęczało mu w kieszeni — niepodejrzanej czystości, bo tylko tę jedną wewnętrzną wartość uszanowała epoka wszechfrymarczenia. Jest on kundmanem, którego zachciankom służy liczny zastęp faktorów i naganiaczy. Przyglądasz się książkom, rozłożonym na niewielkiej wystawie dworca, a nie znalazłszy odpowiedniej zabierasz się do odejścia, gdy sprzedawca nachyla się, uśmiecha tajemniczo i półgłosem szepcze, że ma jeszcze inne — „inne“ wymawia ze szczególnym naciskiem — książki, o wiele przyjemniejsze, a także bardzo ładne fotografie. Zajedziesz do podrzędniejszego hotelu i wzbudzisz zaufanie, że nie uwiadomisz policyi, a kelner zjawi się przed wieczorem i zapyta, czy łóżko ma słać dziewczyna, dorzucając, że jest zdrowia nieposzlakowanego. W porządniejszym, tj. droższym, nie będą tak uprzejmi i ograniczą się jedynie do tego, że wsadzą do ręki drukowany adres, iż w takiem a w takiem miejscu zabawy dają dzisiaj niewymownej piękności balet. Łatwość zadośćuczynienia swoim przeżbom żłobi w duszy męzkiej odpowiednie rysy: brutalnego nabywcy, który wie, że za pieniądze może wybierać towar. Rycerska donkiszoterya, sentymentalizm romantyków, pawie piórka głupców, psychiczne krewniactwo ideologów, wszystko pierzcha. Pozostaje jedynie brutalna wybredność kupca, targującego się nie z samym towarem, ale z pośrednikiem...

Hamburg.

Kurz, pył — takie jest jedyne wrażenie, które dotychczas wyniosłem z Hamburga. Nie dostrzegłem ani śladu owej koszarowej estetyki publicznej, która tak wszechwładnie rozpostarła się nad miastami pruskiemi — praktyczny zarząd, złożony nie z biurokratów, ale z kupców, wie, że piękno jest rzeczą niepraktyczną, bo chłonie kapitały i nie przynosi zysków. A zatem, zamiast olbrzymiego dworca centralnego mamy mnóstwo drobnych, brudnych, ma-

łych, jakich nie powstydziłyby się drugorzędne stacye u nas. Jeszcze inny rys wolnego miasta. Zamiast opieki policyjnej, nieodłącznej od każdego zakątka pruskiego, mnóstwo czynności pozostawiono własnej uwadze i własnej samopomocy. Pociągi kolejowe przebiegają przez ulicę, szlaban bywa zamykany tylko w niektórych miejscach, gdzieindziej stoją jedynie napisy, wzywające do baczności. Malcy uwijają się po szynach w chwili, kiedy lokomotywa nadjeżdża, pasażerzy wskakują i wyskakują podczas biegu, oko moje z trudnością odnajduje w tłumie *schutzmann'a*, ale daremnie poszukuje w nim śladów godności osobistej, wynikającej z poczucia, że bez niego świat ludzki runąłby w nieporządku. Ruchliwy kapitalizm handlowy stargał okowy ojcowskiej epieki berlińskiej!

* * *

Zmęczony nocną podróżą i rannem bieganiem do kantorów przespałem dzień cały. Rzecz naturalna, nie mogłem się przyjrzeć Hamburgowi. Z rannej wycieczki prócz kurzu skorzystałem jeno tyle, iż wiem, że są dwa Hamburgi, różne i obce sobie, jeden Hamburg ludzi zamożnych, tonący w zieloności, upstrzony parkami, z szerokiemi czystemi ulicami, a drugi — brudny, ciasny, cuchnący, z spiętrzonemi klatkami. Kto widział jedno miasto a nie oglądał drugiego, ten wyniesie o Hamburgu pojęcie zgoła opaczne. A przecie jak łatwo może się to wydarzyć przelotnemu widzowi, że przypadek zaprowadzi go od dworca w jedną stronę i pokaże tylko cząstkę całości! Oba te miasta żyją inaczej, myślą odmiennie, a od czasów zwłaszcza cholery każde z nich jest wrogim obozem. Wszak *pfeffersack'i*, mieszkający w rozkosznych willach, nie zawahali się oddać przeciwników na pastwę zarazy i żałowali każdego grosza ze szkatuły municypalnej na pomoc! Ubogi Hamburg znalazł w swoich *trades-unionach* organizacyę wzajemnej opieki przeciwko drobnowidzowemu wrogowi.

Dopiero późnym wieczorem puściłem się na wędrówkę po mieście, a raczej po jednem z miast, po tym Hamburgu, który był ogniskiem cholery, a zawsze jest przytułkiem pracy, połączonej z niepewnością jutra. Z dworca *Klosterthor* wpadam w wązkie zaułki, będące jakby zbiorem starożytności. Na kilka łokci szerokie domy, za to niezmiernie wysokie, tłoczą się przy sobie. Każda kamienica posiada inny wygląd, a zawsze dziwny dla oka, przyzwyczajonego do koszarowej prostoty i szablonowej jednostajności nowych dzielnic. Te stare, brudne uliczki, okna wypełniające całą ścianę jak gdyby w cieplarni, te różnie, lecz zawsze spiczasto spiętrzone dachy, nieregularne budynki, wszystko to jakoś cieplej, serdeczniej przemawia do wyobraźni, aniżeli rzędy nowoczesnych domów. Jakaś indywidualność przeziera z pod tego staroświeckiego rumowiska, oryginalna, różnobarwna, a może nieokrzesana, ale z ludzkiem sercem... Dzisiaj to gniazdo awanturniczej Hanzy stało się siedzibą pracy — pod tym względem nic przeniewierzyło się starodawnej tradycyi, ale potomkowie sławetnych patrycyuszów wynieśli się z ciasnych zaułków i sfilistrzyli swoją duszę w szablonie kapitalistycznym. Choć życie drga tutaj. Na uliczkach gwarno. Tłumy pracujące wyległy teraz na świeże — o ironio, pełna sadzy i kurzu atmosfera zwać się jeszcze może świeżą! — powietrze z dusznych izdebek. Miejscami trudno się przecisnąć, tu i ówdzie z szynków dolatuje hałaśliwa muzyka, tam rozprawia jakaś gromadka.

Wśród tego sejmikującego obozu, wybuchów żalu lub nienawiści, odgłosów orgii szynkowej, rozpostarł się drobiazg ludzki. Musisz stąpać ostrożnie, bo na chodniku wązkiej uliczki wejdziesz na jakieś maleństwo, pełzające jeszcze na czworakach lub potrącisz kilkoletnią dziewczynkę, przysłuchującą się skargom ojców i rozprawom o parlamencie. Przywykłem w Berlinie do swobody dzieci: ulica jest ich salonem, a dorożka je objeżdża, przechodzeń uważnie omija. W Hamburgu, wśród ogniska niedawnej cholery, wolność ta jest jeszcze większą. Zdaje się, bębny lada chwilę wlezą na kark *schutzmanna*, zdejmą kask, a on bezbronny stać będzie w obliczu tego rozzuchwalonego małego obywatelstwa. „Nie mielibyśmy w naszem dzieciństwie takiej wolności — mówi towarzyszący mi niemiec — gdybyśmy od niemowlęctwa przywykli do takiej odwagi; nasz Michel nie potrzebowałby dzisiaj tak walczyć przeciw militaryzmowi...“

Noc przerywa wędrówkę. Z żalem opuszczam zaułki starego Hamburga.

Pod Cuxhavenem.

Tylko co rozgościliśmy się na Kolumbii. Specyalny pociąg, złożony z kilkunastu wagonów, dowiózł nas z Hamburga. Razem znalazło się na parostatku do 500 osób. Kolumbia jest pływającym olbrzymem, niezwykle długim w porównaniu z innymi wymiarami. Potrzebuje siedmiu dni przeszło na przebycie przestrzeni, oddzielającej Hamburg od New-Yorku. Właściwie należałoby ją nazwać pływającym hotelem, zaopatrzonym w olbrzymie wspólne salony, męzkie i damskie, we własną drukarnię; nie brak nawet urzędu pocztowego. Wydaje się ona potwornie wielką.

Na Kanale.

Pozostawiamy po za sobą na wodzie szeroką smugę, ginącą gdzieś w niewidzialnej odległości. Środkiem, gdzie woda wtłacza się w próżnię, wyżłabianą przez statek, powstaje zielonawa wstęga, na krawędziach pieni się fala. Smuga wygląda, jak gdyby ktoś nieskończony wątek przetkał w jednym pasie regularnie rzędami białych nici. Tu i owdzie, wbok od mlecznej drogi, znaczącej nasze ślady, wznosi się biały grzbiet i pryska spadając na dół, niby wytrysk mleka. To spienił się bałwan. Wzrok znowu powraca do gościńca, przez nas zbruździonego. Het daleko, wśród prawidłowo przetkanych białych szwów piany, usadowiła się nieregularna gromadka białych punkcików. Czy to jakieś spiętrzone bałwany stargały utkaną z piany smugę? Śnieżne punkciki podnoszą się do góry, lecą nad śnieżystą falą, giną wśród niej, znowu wypływają, coraz bliżej i bliżej Kolumbii. To mewy! Od Southamptonu towarzyszy nam całe ich stado. Ktoś z pokładu rzucił kawałek chleba — gromada spada na wodę i długo szuka żeru. Zdawałoby się, że pływają na wodzie, a one tylko unoszą się nad nią.

Ciągle suną się brzegi Anglii. Niekiedy jedziemy tak blisko, że można odróżnić okna w domach, ścieżyny pnące się po pochyłościach. To znowu oddalamy się od wybrzeża, mgła niby muślinem zasłania nagość skał, powaby gajów i parków. Morze wszędzie oddycha życiem, na wszystkich kierunkach mkną żaglowce, parostatki, łodzie rybackie. Czasami przeleci przed nami spacerowy yacht zamożnego anglika. Rodzina, lekko przyodziana, krząta się około miniaturowej maszyny parowej, nawet młode *misses* nie próżnują i pomagają mężczyznom. W porównaniu z naszym olbrzymem yacht jest niby łupinką orzecha. Bałwan, przez nas stwarzany, porywa wątłą łódź parową, niesie na grzbiecie i rzuca w dół. Zaleje ją! Nie, yacht wypływa, jakby igrał z żywiołem morskim, *ladies* i *misses* zasyłają nam zdaleka pożegnanie chustkami, panowie unoszą kapeluszy. Przestrzeń rośnie i yacht ginie z oka, jedynie czarny komin świadczy, że porusza się on gdzieś na powierzchni wód.

* * *

Od Southhamptonu powstała na pokładzie kwestya narodowościowa. Dotąd jedynie Niemcy wypełniali Kolumbię, w tym porcie przybyli anglicy. Odróżnić ich łatwo; cały ubiór, od trzewika do czapki, jest obliczony na podróż. Trzymają się razem. Udzielają sobie milcząco wskazówek zachowywania się na morzu: wyszukali nieznane nam kąciki, znieśli fotele, czytają, rozprawiają, grają w szachy lub karty. Kiedy niemcy chórem śpiewają, oni zbierają się jako widzowie, czynią do siebie głośne uwagi, lornetują, jak gdyby mieli przed sobą zwierzęta w menażeryi.

Niemiec zgóry traktuje naszego rodaka. Zresztą zachowanie zależy od partyi politycznej. Demokrata serdecznie uściśnie dłoń cudzoziemca ze Wschodu i kilka słów powie o braterstwie ludów; wolnomyślny zimno, ale grzecznie ukłoni się zdaleka, narodowo-liberał — jest to ssak dwunożny przeważnie dobrej tuszy — odwróci się tyłem, chyba że poczuje, iż przybysz jest dobrze urodzonym — w nowoczesnem tego słowa znaczeniu, tj. posiada wystarczającą rekomendacyę pieniężną. Wtedy umie skakać jak pies na łapach, umizgający się do kawałka cukru. Jak zachowałby się junkier, nie wiem, bo jeszcze nie miałem do czynienia z czysto niemieckimi *von*'ami, ich zaś lichych naśladownictw z Poznańskiego niepodobna brać na seryo, wszelkie kopie są zawsze tandetą. Sądzę jednak, że, o ile zachował dawną brutalność rycerską i lekceważenie Mamony, będzie miał minę bardziej ludzką, niż miejski dorobkiewicz, nawet jeżeli kogoś będzie traktował z góry. Otóż anglicy postępują z niemcami — przeważnie narodowo-liberalnego znaku — na pokładzie w ten sam sposób, jak niemcy z naszymi ziomkami. Syn wojowniczego *Vaterlandu* wprost nie wie, jak tańczyć przed tem wyższem stworzeniem. Ktoś z niemców wciąż ponawia próby przedostania się do gromady anglików, dochodzi do niej, czyni po angielsku swoje uwagi; lecz zbyty milczeniem lub małomówiącymi *yes* traci stanowczość i cofa się...

(Przy sposobności zaznaczę jeden z rysów naszej „duszy rasowej.“ Biologia wydobyła na jaw zjawisko *mimiery*: jakiś motyl tak naśladuje liść drzewa, liszka — suchą gałązkę, że najwprawniejsze oko nie odróżni ich od otoczenia. Moi rodacy posiadają — nie powiem zdolność, ale olbrzymią chęć do takiego upodobniania się. Są *von*'ami, don Juanami, austryakami — stosownie do tego, z kim mówią).

* * *

Ciepły, pogodny wieczór. Przejeżdżamy około podwójnej latarni morskiej na w. Scilly. Wkrótce pożegnamy na zawsze ląd europejski i znajdziemy się na *morzu*. Wody bowiem morza Północnego i Kanału nie uchodzą jeszcze za morze. Ciekawość ujrzenia Oceanu zgromadziła wszystkich na pokładzie. Dajemy sygnały; za pomocą różnobarwnego płomienia opowiedzieliśmy latarnikowi na w. Scilly, jak się nazywamy — niech doniesie światu, że taki to statek minął szczęśliwie najniebezpieczniejszą część podróży i puścił się o takiej to godzinie na niezmierzoną powierzchnię wód.

Ale pomiędzy Kanałem a morzem nikt nie postawił granic. Jeden i drugi, omylony w nadziei ujrzenia Oceanu, udaje się do swojej celki. Pokład zaczyna świecić pustkami. Dziwne uczucie owłada ludzką istotę. „Morze“ jest takiem głębokiem i rozległem, pochłonie Ciebie, a nikt się nie dowie, w jakiem miejscu z jednej bezbrzeżności przeszedłeś do drugiej. Nie jest to bojaźń — zgoła nie!, ani też radość, raczej coś podobnego do tej ekstazy, wśród której istotni czciciele Nirwany zrywają z siebie więzy bytu. Jakąś błogością napełnia cię myśl, że zmierzysz się z tajemniczą przestrzenią, która dzisiaj uśmiechnięta, jutro może zadrży i zabałwani się pod tobą. Jest to jakiś lęk wobec bezbrzeżnej nieokreśloności z tęsknotą ku niej...

K. R. Ż.

Z GALICYI.

Lwów, 17 czerwca.

Nasze ustawodawstwo posiada trzy instytucye, mające na celu wykonywanie opieki nad klasą najmicką: robotnicze kasy chorych, zakłady ubezpieczenia w razie nieszczęśliwych wypadków, a nakoniec inspektorów przemysłowych, których obowiązkiem jest „czuwać ustawicznie nad ochroną zdrowia i życia robotników.“ W tym kierunku mają oni wydawać opinie przy urządzaniu nowych zakładów przemysłowych, zwiedzać istniejące warsztaty i fabryki, pośredniczyć w zatargach pomiędzy pracodawcami a robotnikami itp. Co roku ogłaszają też sprawozdania z czynności swoich. I teraz właśnie pojawiło się sprawozdanie inspektora przemysłowego dla Galicyi i Bukowiny za rok 1892. W kołach przedsiębiorców nie nie jest p. Arnulf Nawratil osobistością zbyt popularną, okrzyczany jako niepoprawny teoretyk, który wymagania swoje posuwa do niemożliwych granic. Przeciwnicy jego zarzucają mu także, iż przez swoje wygórowane żądania w kierunku ochrony zdrowia i bezpieczeństwa robotników utrudnia rozwój przemysłu w kraju, gdyż w wielu wypadkach wprost niemożliwem czyni utworzenie jakiejś fabryki, ze względu na kosztowność zalecanych przez niego urządzeń. Ustawa austryacka nie nadaje inspektorowi przemysłowemu żadnej władzy bezpośredniej: jest on tylko organem, który ma stwierdzić istniejący stan rzeczy i wypowiedzieć *opinię* o tem, co i jak dla ochrony robotników *„powinno* być zdziałanem.“ Opinii zaś swojej udziela on pracodawcom poniekąd jako rady. Jeżeli zaś który nie chce zastosować się do niej dobrowolnie — to wobec władz jest stroną zupełnie równe posiadające prawa, jak inspektor przemysłowy. To znaczy, że jeżeli np. starostwo powiatowe albo magistrat we Lwowie lub Krakowie uznają żądania inspektora za przesadne, mogą je uchylić i w takim razie pozostaje mu tylko droga odwołania się do wyższej instancyi, tak samo, jak w przeciwnym wypadku niezadowolonemu jego wymaganiami przemysłowcowi. Już to urządzenie najskuteczniejszą kładłoby tamę przesadnej gorliwości urzędowej p. Nawratila, o ile ten zarzut byłby przedmiotowo uzasadnionym. W istocie okazują fakty stan wprost przeciwny. Głównym wrogiem, z którym p. Nawratil walczyć musi, jest niechlujstwo w pracowniach przemysłowych i w przytułkach robotniczych. W roku zeszłym stoczył on walkę z właścicielami piekarni, wędliniarni, fabryk kiełbas, a wreszcie cegielni we Lwowie i Krakowie. Wymagania jego wywołały pomiędzy tymi panami wielkie oburzenie. Sprawozdanie o stosunkach szewców i garbarzy w Uhnowie tudzież hafciarek w Makowie dają rzeczywiście wzruszający obraz pracowitości obok niesłychanej nędzy i zaparcia się rękodzielników w naszym kraju.

I w roku minionym czynił inspektor przemysłowy starania o stworzenie wydziałów robotniczych. Zachęcał do tego przedsiębiorców, zwracał ich uwagę na korzyści tej instytucyi. Wynik tych usiłowań przedstawia się jednak bardzo mizernie, pomimo że inspektor ofiarowywał z ochotą swą pomoc — jeden tylko przedsiębiorca wprowadził u siebie instytucyę wydziału robotniczego. Kto ustawia maszynę, liczy na to, że wydany kapitał ze zwykłym przynajmniej procentem odzyska. Do takiej maszyny porównany może być człowiek, którego wykształcono do pracy pewnej, wymagającej zdolności i sprytu. Oczekiwać by należało, że praca ta, oprócz zwykłego zarobku zwróci mu i koszty wychowania. Wychodząc z tej zasady, obliczono, że wychowanie 20-letniego młodzieńca z niskiem wykształceniem kosztuje u nas 3,640 złr. Czyż trzeba większego dowodu na to, że godzi się pamiętać o wynagrodzeniu i ochronie maszyny ludzkiej! A w rzeczywistości? Jaki krzyk, gdy się maszyna zepsuje. A zabity człowiek? Ot, zabił się, żonie dadzą 6 złr. na miesiąc renty — toż to przecie tani towar na dzisiejszem targowisku, a nie kosztowna maszyna! Sprawozdanie inspektora przemysłowego ostrożnie, zimno i bez wszelkich uwag dowodzi barbarzyńskich stosunków w naszych pracowniach. Posłuchajmy, co on powiada: „W drobnym przemyśle są pracownie oraz dla uczni przeznaczone miejsca na legowiska w bardzo złym stanie. Warsztaty po największej części w starych, licho utrzymanych oficynach, czasami i w piwnicach, nie mają odpowiedniego światła, po największej części są wilgotne i mają niezdrowe powietrze. Uczniowie sypiają zazwyczaj w warsztatach na stołach albo na podłodze, bez pościeli, a bardzo rzadko mają na usługi swoje przybory do mycia, tak, że się *najwyżej raz na tydzień myją*.“ W małych miastach stosunki są jeszcze gorsze. Inspektor polecał wszędzie, gdzie pracownie w piwnicach się znajdowały, przenieść je lub zamknąć. Niestety, od polecenia do wykonania droga daleka! W cegielniach, gdzie robotnicy daleko mieszkający muszą — często z rodzinami — sypiać w fabryce, nie mają nawet legowisk. Śpią na gorących piecach, albo budują sobie z niepalonych cegieł komórki. Tu zaś nietylko są narażeni na słoty i mrozy, ale i na niebezpieczeństwo pożaru. Inspektor zbadał te wady, podał do władz prośbę o ich usunięcie, ale z końcem roku 1892 wszystko było niezmienione i tak pozostanie na długo... Fabryki zapałek fosforowych sprzeciwiają się najprostszym przepisom. Robotnicy, z nędzy zmuszeni w tych szkodliwych stosunkach pracować, przypłacają to śmiercią.

Prościcki.

WALKA Z LICHWĄ.

W ostatnich numerach *Prawdy* czytelnicy mieli jaskrawy obraz ucisku lichwy w Galicyi. U nas nie pożera ona tak gwałtownie całych mas ludności, nie niszczy jej jawnie i bezczelnie; ale opasała również wszystkie warstwy społeczne i gnębi je pod różnemi postaciami kredytu. Znane są *i* w Królestwie fakty zjadania całego dobytku włościańskiego przez wzbogaconych chłopów sąsiadów, oddawanie gruntu na nieokreślony termin za procent, ofiarowywanie lichwiarzom nietylko plonów, ale i pracy własnej. Kmieć staje się w takiem położeniu parobkiem swego wierzyciela na własnym gruncie. Dawniej wpadał on w pułapkę, zastawianą zarówno przez braci w siermiędze, jak i przez żydów. Dzisiaj, dzięki nowemu prawu o władaniu i sprzedaży gruntów włościańskich, żyd-lichwiarz bardziej jest skrępowany i ściślejszej podlega kontroli, ale tylko pod względem korzystania z ziemi. W innej formie usług lichwa żydowska potężnie się rozrasta i szerzy po całym kraju, niszczy ekonomicznie chłopa, szlachcica i mieszczanina. Nie mówimy już o armii oficyalistów we wszelkich zawodach, urzędników różnych instytucyj. Czytelnicy zapewne pamiętają charakterystyczny fakt wykupienia mniej więcej przed rokiem (za kilkadziesiąt tysięcy) pracowników Towarzystwa kredytowego ziemskiego i jego filij prowincyonalnych z niewoli lichwiarskiej, z warunkiem niezaciągania nowych długów tego rodzaju. Następnie ujawniono takie samo zaprzedanie się lichwie pracowników kolejowych. Każda instytucya pracodawcza posiada własnego dobroczyńcę, znającego doskonale warunki bytu swoich klientów, pobierającego za nich pensyę, (zaaresztowaną). Klęskę ową, znaną całemu światu od chwili zjawienia się kapitałów, w różny sposób starano się zażegnać. Za najracyonalniejszy środek uznano prawodawstwo i na tej drodze najwięcej prób dokonano, z różnym skutkiem.

W Galicyi, gdzie we wszystkich formach, a więc w pokątnem doradztwie i rozpajaniu, ręka lichwiarska najsilniej działa, przedewszystkiem usiłowano skrępować działalność szynkarzy. W tym celu wydano przepisy, na mocy których należność za spirytualia w oberżach lub szynkach nie daje prawa do akcyi sądowej, jeżeli biorący na kredyt nie uiścił jeszcze dawnego długu z tego samego źródła i u tegoż wierzyciela. Wszelkie zastawy i poręczenia, udzielane za pewność wierzytelności, są w tym wypadku nieważne. Ktoby usiłował obejść te przepisy, wymagając aktów symulacyjnych, weksli lub rewersów na takie długi, ulegał karze aresztu od tygodnia do dwóch miesięcy lub grzywnie do 200 złr. Prawo to, zastosowane w Galicyi i Bukowinie, jast właściwie dopełnieniem wydanych w tym samym czasie (19 lipca 1877 r.) przepisów „przeciwko nieuczciwemu postępowaniu przy operacyach kredytowych.“ Nazywają one występkiem udzielanie kredytu z wiedzą, że warunki podane mogą spowodować ruinę dłużnika, wówczas gdy ten nie mógł o tem wiedzieć skutkiem nierozwinięcia, niedoświadczenia lub podniecenia umysłowego. Winny podlegał karze od 100 do 1,000 złr. tudzież aresztowi od 1 do 6 mies. Liczne usterki tudzież potrzeba zwalczenia z lichwą w całej Cislitawii sprawiły, że ogłoszono prawo (20 maja 1881 r.), uchylające poprzednie. Według tych nowszych przepisów, wierzyciel za te same, co powyżej przekroczenia, jest karany ścisłym aresztem od 1 do 3 miesięcy i grzywną od 100 do 500 złr. Staje się winnym takiegoż występku i ulega takiej samej karze, kto nabywa wierzytelność, ceduje lub realizuje ją, wiedząc, że pochodzi z operacyi lichwiarskiej. W razie umowy symulacyjnej lub innych kombinacyj nieuczciwych, winny ulega aresztowi od 3 do 6 miesięcy i grzywnie od 500 do 1,000 złr., nadto zagrożony jest wydaleniem z miejsca zamieszkania. W razie powtórzenia podlega aresztowi ścisłemu od 3 miesięcy do roku i karze pieniężnej od 500 do 2,000 złr. Prowadzenie takich operacyj sposobem przemysłu pociąga za sobą karę więzienia od 2 miesięcy do 2 lat i grzywny od 500 do 2,000 złr. tudzież wydalenie z miejsca zamieszkania. Czy owe przepisy wydały pożądane rezultaty; czy przynajmniej stłumiły zło choć w części? Wymowną odpowiedzią są fakty ohydnego rozboju i rabunku, szerzącego się dotąd bezkarnie w całej Galicyi.

W Rosyi, od czasu wydania przepisów, znoszących prawną stopę procentową, ujawniła się ciągła dążność do opracowania prawa przeciwko lichwie. Na mocy Najwyższego postanowienia (30 lutego 1881 r.) oddano tę sprawę komisyi, opracowującej nowy kodeks karny. Otóż obmyśliła ona projekt prawa, skazującego wierzyciela na więzienie w razie, jeżeli nadmierny procent był ukryty pod postacią opłaty za przechowanie lub w inny sposób, albo jeżeli pożyczka sprowadziła ruinę dłużnika. Procent nie przewyższający 15%, nie miał być uważany za wielki. Umowa lichwiarska nieważna. Pożyczkodawca może otrzymać tylko kapitał z procentem prawnym, po potrąceniu tego, co już odebrał.

Obecnie długo zapowiadane nowe prawo, ścigające lichwę, wreszcie ogłoszono i oto treść jego: Zajmujący się zawodowo pożyczaniem zboża lub innych produktów (mieszkańcom wsi) albo pieniędzy z warun-

kiem spłacenia długu pieniężnego w części lub w całości zbożem, produktami, robocizną — jeżeli do zawarcia umowy na warunkach nadmiernie uciążliwych, nieodpowiadających zwyczajom miejscowym, wierzyciel skorzysta z wielce ciężkiego położenia dłużnika — podlega: za pierwszym razem aresztowi do 3 miesięcy, za drugim i za następnymi zamknięciem w więzieniu od 1 do 6 miesięcy. Umowa lichwiarska staje się nieważna, lecz wierzyciel nie traci prawa do zwrotu istotnie udzielonego przezeń zboża, produktów lub pieniędzy, po potrąceniu zwróconej już ilości. (Punkt ten zgadza się z dawniejszym projektem). Za wypożyczenie kapitału na zbyt wysoki procent lub pod warunkiem zapłacenia nadmiernie wysokiego wynagrodzenia za niedotrzymanie terminu: 1) jeżeli dłużnik był zmuszony ciężkiemi okolicznościami, znanemi wierzycielowi, przyjąć warunki pożyczki zbyt uciążliwe i szkodliwe w następstwach, albo 2) jeżeli pożyczkodawca ukrył nadmiar procentu w jakikolwiek sposób (włączenie do kapitału w formie opłaty za przechowanie lub uchybienie terminu itd.) — winny podlega zamknięciu w więzieniu od 3 miesięcy do 1½ roku, a nadto, według uznania sądu, karze pieniężnej do 300 rs. Tej samej karze podlega, kto nabędzie lub złoży do egzekucyi zobowiązanie, wiedząc, że jest lichwiarskie, lub kto otrzyma zapłatę na zasadzie podobnego zobowiązania. Jeżeli ono jest lichwiarskie, traci swoje znaczenie, wierzyciel jednak ma prawo otrzymać z powrotem kapitał, z potrąceniem rat opłaconych. Procent nieprzewyższający 12% rocznie, nie uważa się za nadmierny. Właściciele lombardów i ich pełnomocnicy za przywłaszczenie, roztrwonienie, samowolne korzystanie lub oddanie do użytku przedmiotów zastawionych tudzież za lichwę podlegają karom określonym za te czynności występne (art. 173—177 i 180² ustawy o karach oraz art. 1681, 1682 i 1707 kodeksu kar), a nadto tracą na zawsze prawo utrzymywania lombardów. Jeżeli oskarżony przywłaszczył sobie nienależącą mu się godność urzędnika państwowego, sporządził lub świadomie zużytkował fałszywe dokumenty urzędowe, handlowe, albo listy fałszywe, dopuścił się innego fałszerstwa, jeżeli za pomocą napojów wyskokowych i innych lub innymi sposobami doprowadził oszukanego do stanu nieprzytomności, albo uciekł się do fałszywych obietnic, zapewnień itd., a następnie skorzystał z tego, że oszukany nie pojmował jasno właściwości i znaczenia zaciąganego zobowiązania — to, albo podlega: pozbawieniu wszelkich szczególnych, osobistych lub majątkowych praw i przywilejów i zesłaniu na mieszkanie do Syberyi, albo oddaniu do poprawczych rot aresztanckich, według 5-go stopnia art. 31 kodeksu. Winni powtórzenia przestępstwa, przewidzianego w art. 180² ustawy o karach, wymierzanych przez sędziów pokoju, albo zrobienia z lichwy procederu — podlegają: pozbawieniu wszelkich praw szczególnych, osobistych i majątkowych oraz przywilejów i zesłaniu na mieszkanie do jednej z oddalonych gubernij, oprócz syberyjskich, albo zamknięciu w więzieniu, według 1 i 2 stopnia art. 33 kodeksu. Przepisy powyższe, które tu podaliśmy w streszczeniu, zostały Najwyżej zatwierdzone 24 maja r. b.

Po za siłą przepisów wzmocniona będzie kontrola lichwiarzy tudzież ich działalności, ogłaszanie nazwiska itd. Niewątpliwie takie skrępowanie operacyi szkodliwych złagodzi zło w wielu razach. Surowość prawa w niektórych punktach, jak widzimy, dość jest znaczna, szczególnie w zastosowaniu do recydywistów. Prawodawstwa innych państw wypróbowały różnych sposobów w tej mierze i, doprawdy, trudno jest orzec, w jakim stopniu natężenia kara widocznie skutkuje. Prof. Antoni Okolski, autor ciekawej rozprawy p. t. „Kwestya lichwy w obecnem prawodawstwie“ *), przychodzi do następującego wniosku: „Dla lichwiarza, który naraża się dla miłości pieniędzy na tyle nieraz trudów i mozołów, na utratę dobrego imienia i pogardę społeczeństwa, krótkotrwały areszt i więzienie jest niczem. Poczuje on karę wtedy tylko, kiedy utraci to, co nabardziej ukochał w świecie — pieniądze.“ Niewątpliwie środek to względnie najskuteczniejszy, jak i wogóle surowe karanie jednostek, przynoszących zło społeczeństwu. Trudno atoli wymagać od prawa, ażeby rdzeń złego usunęło tam, gdzie się on splątał z ogólnymi warunkami bytu. Prawo o lichwie wraz z możliwem uprzystępnieniem kredytu dla całych mas ludności ubogiej, tudzież z organizacyą giełd pracy, może zło w znacznej mierze złagodzić.

Zn. P.

*) *Biblioteka warszawska*, r. 1887.

PAMIĘTNIK.

W dalszym ciągu.

Podobno jakaś poczciwa dusza nie chce dopuścić, ażebyśmy nudzili się w Warszawie podczas lata i urządzi nam nową zabawę. Ach, dzięki! Bo przedewszystkiem chodzi o to, ażebyśmy się nie nudzili — wszystko inne będzie nam dodane. Ale tej poczciwej duszy winniśmy zwrócić uwagę, ażeby pomyślała także o jedzeniu. Gorliwi bowiem zwolennicy i znawcy zabaw słusznie boleją nad tem, że zbyt często weselimy się na czczo. Humor najlepiej lubi przebywać w pełnym żołądku. Przeczytajcie tylko uważnie opisy zabaw, które się udały i „pozostawiły w pamięci uczestników niezatarte wspomnienia“: zawsze znajdziecie w nich obrazy „szturmów“ do bufetów. Mniej więcej odbywa się zawsze jednako: towarzystwo wyjechało na bicyklach, łodziach, statku lub koleją; wkrótce panowie i panie zaczęli „marzyć“ o celu wyprawy; po wylądowaniu lub opuszczeniu wagonów wydali radosny okrzyk na widok „twierdzy z butelek, półmisków i talerzy“; rzucono się do zwycięzkiego „szturmu“; po tym tryumfie panowie chodzili w workach, a panie wiosłowały z wdziękiem; tymczasem szybko z gruzów powstała druga „twierdza“ i znowu popędzono do „szturmu“; następnie rzucono się do tańców, ale ponieważ znowu wzniosła się „twierdza,“ więc przypuszczono trzeci „szturm,“ który już ją zgładził doszczętnie. Powracające do Warszawy towarzystwo waży o kilka tonn więcej, gdyż humor czyni je cięższem.

Gdyby nie te „twierdze“ i „szturmy,“ zaproponowalibyśmy dzielnym warszawiakom i pięknym warszawiankom, szukającym świeżych pomysłów do zabawy, następujący: po żniwach liczne towarzystwo wychodzi na pola i zbiera pozostawione po żeńcach kłosy, które składa w darze bezrolnym mieszkańcom wioski. Takie pokłosie byłoby bardzo sentymentalne, ale obok pokrzepienia sił na świeżem powietrzu i niejakiego plonu dla biedaków, pozwoliłoby odpocząć żołądkom po zbyt obfitych twierdzach i pomyślnych szturmach. Dla zwolenników poezyi mamy inny projekt: w Węgrzech istnieje piękny zwyczaj, któryy każe młodym kobietom w właściwej porze wyjść do lasu i zaoczkować bodaj jedną dziką różę. Dzięki temu zwyczajowi Węgry są pokryte taką masą róż uszlachetnionych. Ale tam róże nie wymarzają — powie mi jakiś ogrodnik — podczas gdy u nas muszą być na zimę okryte. Byłaby to uwaga słuszna, nie chodzi jednak koniecznie o róże. Szczepmy sobie w lasach grusze, jabłonie, głogi, klony, leszczynę itd., będziemy mieli tę samą przyjemność.

— Ech, dajcie nam pokój z tymi konceptami — zawoła dzielny warszawianin lub piękna warszawianka — my wolimy nasze twierdze i szturmy.

Powodzenia! — szanowni bojownicy.

Cuda XIX w.

Nie ma rady! Musimy brnąć coraz głębiej w mistycyzm, spirytyzm, „materyalizacyę duchów“ i inne cuda XIX stulecia. Widocznie sądzono naszemu wiekowi, ażeby skonał w malignie.

Skoro tylko rozeszła się wiadomość o dziwnych sztukach (nie wiadomo, jak to inaczej nazwać!) Eusapii, którą obserwował Lombroso, Richet, Schiaparelli i inni uczeni, naturalnie pospieszył do niej główny apostoł cudowności u nas, p. J. Ochorowicz. Zdał on sprawę ze swej wycieczki w *Kuryerze warszawskim* i opowiedział nadzwyczajne dziwy: pomimo najściślejszego kontrolowania i ubezwładniania Eusapii, stół się podniósł w górę, lampy zmieniały miejsce, fortepian grał, krzesła skakały bez żadnej widocznej przyczyny itp. Czasem tylko spódnica tajemniczej włoszki „wydymała się,“ ale gdy ktoś z obecnych uchwycił to wydęcie, nic pod niem nie uczuł. P. O. przedstawił te zjawiska z zupełną wiarą w ich rzeczywistość, bez słowa krytyki lub sceptycznych podejrzeń. Uznaje on w nich nową, nieznaną dotychczas dziedzinę, której ciemności wiedza jeszcze nie zaczęła przenikać. Ponieważ nikt nie wytłomaczy sobie, jakim sposobem stół może podnieść się sam w górę lub fortepian grać; ponieważ trudno o to posądzić nawet ducha Eusapii, gdyż on czasem dotyka obecnych brodą lub szorstką ręką, a więc zdradza naturę męzką; ponieważ wogóle wiedza ludzka jest pozbawiona głosu w tych sprawach, więc nie pozostaje nam nic innego, jak odrzucić rozum, który okazał się bezużytecznem narzędziem, otworzyć usta, wytrzeszczyć oczy i tak stać w niemem osłupieniu wobec „rzeczy, które się filozofom nie śniły.“ Dawno już, bo od średnich wieków rozum nie ogłosił tak szczerze, jawnie i bezwzględnie swojego bankructwa. Gdy sławni kuglarze zadziwiali świat swemi przedstawieniami, nie odgadując nawet ich tajemnicy, rozwiązywano jej zagadkę przypuszczeniem zręczności i sztuki bałamucenia widzów. Dzisiaj świadkowie i „naukowi“ kontrolerzy medyów wyłączają z góry ich oszustwo i przyjmują obserwowane zjawiska za fakty niewątpliwe. Wcale to ich nie zastanawia, że te duchy, które należą zapewne do istot wyższego rzędu, powinnyby zdradzać jakąś doskonalszą wiedzę, niż nasza i objawić swą obecność czynnościami poważniejszemi, niż podnoszenie stołów i przewracanie krzeseł. Kij prosty, zanurzony w wodzie, widzimy złamany — więc jest złamany, bo wszystkie oczy tak widzą. Ktoś kiedyś zapytał ducha, w którym roku umarł Jerzy II, król angielski — duch nie odpowiedział i wogóle nie chciał wdawać się w chronologię i trudniejsze daty. Na jego wyznawców ta jego niewiadomość nie zrobiła żadnego wrażenia — wogóle nie krępują oni jego woli i nie wymagają odeń zbyt wielkiej mądrości, z czego wynika, że duchy po opuszczeniu ciał nie są wcale mędrsze, a od wielu ludzi ukształconych głupsze.

Jakkolwiek czujemy, że na umysłowość XIX w. pada od obecnych jego cudów jakiś gęsty mrok, nie smucimy się tym wypadkiem. Rozum nie był ludziom nigdy koniecznie potrzebny do szczęścia, a nawet przeciwnie sprawiał im wiele przykrości. Może więc im teraz bez rozumu będzie lepiej, może wywalczą sobie więcej dobra i pożytku pod sztandarem z wydętej spódnicy Eusapii...

Fuszerka budowlana.

Skutkiem gwałtownego wybuchu wody przy wierceniu studni runęło kilka domów w miasteczku poznańskiem Pile. U nas zdarzyło się to samo bez udziału wody i tylko samą siłą spekulującej fuszerki. Po znanym wypadku w Łodzi wyraziliśmy obawę, że i u nas z pewnością między nowozbudowanymi domami znajdują się gotowe do upadku. Niedługo nasza wróżba czekała na spełnienie się: przy ulicy Wilczej i Wołyńskiej runęły ściany dwu domów. Z tego powodu p. oberpolicmajster przypomina podwładnym organom przepisy dozoru. Naszem zdaniem, wobec ciągle powtarzających się tego rodzaju katastrof, wynikających niewątpliwie z karygodnej fuszerki, należałoby zwiększyć odpowiedzialność zarówno właścicieli, jak majstrów i przedsiębiorców. Jeżeli ktoś wykolei pociąg i spowoduje zranienie kilkunastu pasażerów, dosięga go ciężka kara; czyż nie sroższej albo równej podlegać winien spekulant i wykonawcy jego woli, którzy wznoszą dom, mogący się zawalić i pogrzebać w swych gruzach dziesiątki albo setki ludzi?

Zwiększona przynęta.

Grono prawników za pośrednictwem warszawskiej *Gazety sądowej* ogłosiło w kwietniu r. b. konkurs na dzieło z zakresu prawoznawstwa, wyznaczając dwie nagrody: pierwszą rs. 650, drugą rs. 150. Obecnie pierwszą podniesiono do 750, a drugą do 250. Podwyżka ta nastąpiła prawdopodobnie nie tyle dzięki wzmożonej hojności, ile skutkiem dostrzeżonego braku konkurentów. Zamiast obwijać prawdę w bawełnę rozmaitych wymówek, lepiej wyznać szczerze, że prawnicy nasi puścili odłogiem niwę badań naukowych. Nie tylko szara masa, umiejąca jedynie wspinać się wyżej lub niżej po szczeblach karyery, ale nawet ludzie bardzo zdolni zatonęli zupełnie w praktycznych robotach i zabiegach swego zawodu, opanowani przedewszystkiem ideą szybkiego zebrania majątku. Dziś książka z dziedziny prawa wzbudza u nas podziw... bibliografów, którzy w swoich wykazach rzadko otwierają tę rubrykę. Otóż grono ludzi (między którymi są niezawodnie winni bezpłodności naukowej) postanowili pobudzić swych towarzyszów do badań i produkcyi piśmienniczej, a za środek ku temu wybrali dość ponętny materyalnie konkurs. Czy on wyda owoce? Mielibyśmy nadzieję, gdyby nie zbyt często słyszane wyrazy: „Jedna sprawa, która mnie kosztować będzie miesiąc pracy, da mi więcej.“ Z takim argumentem poradzić trudno. Dopóki też nasi prawnicy ważyć będą swe obowiązki i zadania naukowe wagą zysków, pozostaną tylko, jak są w znacznej części, doradcami interesów praktycznych.

Jeszcze jeden.

Jeszcze jeden, już nieco spóźniony protest przeciwko Uchwałom Akademii krakowskiej w sprawie pisowni założył p. M. Suchecki w broszurce „Pisownia uchwalona i wymowa rodzima.“ Autor obala prawie wszystkie te uchwały, ale nadewszystko gromi Akademię za porzucenie *é*, „w czem widzi rodzaj klęski narodowej“ i za wytworzenie języka „bekliwego.“ My owej „klęski narodowej“ nie bierzemy tak tragicznie i nie sądzimy, ażeby ogół piszących kiedykolwiek dogodził pretensyom i upodobaniom p. S. Żąda on bowiem nietylko skrupulatnego kreskowania *e* (np. piéc), ale także spółgłosek (np. Radom'), nadmiernego jotowania (np. stoji) itp. Często jego probierzem jest wymowa ludu; ale podczas gdy radzi na tej zasadzie pisać: *papir*, *cztyry*, jednocześnie pozwala pisać: *cesarz*, *gniewać*, *niema* chociaż lud wymawia: *cysorz*, *gniwać*, *nima*. Na dowód „bekliwości“ języka skutkiem zniesienia kreski nad *e* przytacza następujące zdanie z powieści Sienkiewicza: „Jej wkrótce przykre będzie nawet moje wspomnienie.“ Z wyjątkiem pierwszego zaimka, ciekawi jesteśmy, gdzie p. S. jeszcze wsadziłby ową kreskę, której zatrata sprowadziła „klęskę narodową?“

Wogóle jego broszurka zawiera więcej dziwactw, niż twierdzeń godnych przyjęcia. Sprawa pisowni jest czysto praktyczną, którą rozstrzygają nie pozory, sądy i wyroki naukowe, ale rozwijające się na podstawie tradycyi i życia zwyczaje, których nie obali żadne gramatykarskie *liberum veto*. A gdyby nawet wszyscy ortografowie ogłosili najuroczystsze rozporządzenie, nikt już pisać nie 'będzie *papir* i *cztyry* lub *piéc* i *Radom'*. Trzeba się zgodzić z tą koniecznością, która zresztą nic zawiera w sobie nic rozpaczliwego.

Plebiscyt artystyczny.

Jak wiadomo, redakcya *Tygodnika ilustrowanego* łącznie z Towarzystwem zachęty sztuk pięknych urządziła konkurs na obraz i rysunek. Jako sędziów tego turnieju powołała abonentów *Tygodnika*, którzy składali swoje głosy w urnach wystawy. Otóż plebiscyt został ukończony: największą liczbę przyjaznych kartek (z ogólnej ich sumy 985), mianowicie 111 otrzymał p. Alchimowicz za (obraz) „Najem robotników“ i 99 p. L. Stasiak za (rysunek) „Rybaczka z pod Melsztynu.“ Jeżeli pierwszy z laureatów pozyskał uznanie zaledwie $^1/_9$, a drugi $^1/_{10}$ części głosujących, to tylko przekonawa, że albo konkurs nie posiadał ani jednego utworu znakomitego, albo też nasza publiczność na tych rzeczach wcale się nie zna. Bo jakże inaczej wytłomaczyć sobie to dziwne rozstrzelenie zdań? A możeby należało nikomu nie przyznać nagrody i urządzić... wybory ściślejsze?

Z estrady i ze sceny.

Trudno zaiste zrozumieć, dlaczego komitet budowy gmachu dla Towarzystwa muzycznego, dając publiczności „wielki“ koncert, złożony wyłącznie z utworów Moniuszki, wybrał w tym celu przeważnie drobiazgi znane i wykonywano u nas wielokrotnie, pominąwszy całkowicie większe kompozycye, jak Widma, Sonety, na które próżno wyczekujemy od lat całych. „Piosnkę żołnierza,“ *notabene* poćwiartowaną w układzie na chór męzki, zagłuszoną w kilku miejscach rytmicznym akompaniamentem basów i barytonów tak dalece, iż z trudnością złożyć można całość melodyi, „Znasz-li ten kraj?“ i inne ulotne piosenki Lutnia daje nam na każdym niemal koncercie. Śpiewki, wykonane misternie przez p. Szlezygier, umiemy również wszyscy na pamięć. Z rzeczy, zupełnie u nas nieznanych, jedynie ważną do zaznaczenia na zeszłotygodniowym koncercie była ballada do słów Mickiewicza „Pani Twardowska,“ niestety jednak, wykonanie jej przedstawiało ważne niedobory, śpiew bowiem solowy pp. Misiewicza i Niedźwiedzkiego, tak wielce charakterystyczny i komentujący wartość podkładu orkiestralno-chóralnego, pozbawiony werwy, dykcyi, rozwlekły, mało rytmiczny, zepsuł najzupełniej wrażenie świetnej całości. Orkiestra holenderska wywiązała się z zadania swego nad podziw dobrze, chóry dostrajały się do niej recitativa i arye solowe wszakże zrobiły baladę dla ogółu nudną i zaledwie zrozumiałą.

Z siłami, jakie przyjęły udział w koncercie, można było bezwarunkowo stworzyć poważniejszą ucztę artystyczną i w szerszym zakresie dać poznać ogółowi twórczość zgasłego naszego mistrza.

Od paru tygodni *Kuryery* rozbrzmiewały radosną wieścią, iż Warszawa usłyszy niebawem wielkiego mistrza tenorów, włocha, p. Garulli, który stworzył jakoby rolę zdradzonego męża w *Pajacach*...

Cóż się okazało?..

Oto głos „mistrza“ tremoluje, że w chwilach wybuchu — jak słusznie twierdzi jeden z najpoważniejszych krytyków—„sprawia pewne wrażenie, nie dozwalając wszakże przesądzać, czy w prawdziwem, spokojnem cantabile odpowie oczekiwaniom i wypełni salę czystym metalem?“ Głos to przytłumiony, wydobywający się z piersi z wysiłkiem, a w momentach dramatycznych forsowany tak gwałtownie, iż mimowoli budzi współczucie dla śpiewaka, który w krótkim przeciągu czasu stracić go może zupełnie.

Okoliczność ta nie przeszkadza wszakże jednej z wyroczni *Kuryerkowych* twierdzić, iż p. Garulli „należy do liczby tenorów, obdarzonych niepospolitym materyałem wokalnym o znacznym woluminie, utembrowanym metalicznie“ itd.

Dziwnie sprzeczne zaiste bywają niekiedy zdania i opinie naszych muzycznych rzeczoznawców. Można mieć gusta rozmaite w stosunku, przypuśćmy, do takiego lub innego wykonania danego utworu: jeden woli szybsze tempo i bardziej rytmiczny akcent w odtworzeniu melodyi, inny przekłada nad wszystko spokojne, łagodne, szerokie frazowanie: różnie czasami i często indywidualnie pojmować można myśl kompozytora; ale żeby nie zgodzić się np. co do oceny głosu, twierdzić, dajmy na to, że materyał jest „niepospolity,“ podczas gdy przedstawia się raczej ujemnie, niż dodatnio, to, rzeczywiście, dziwnie niezrozumiałe. Wszak mamy pewne utarte normy dla określania wrażeń, odbieranych przez zmysły nasze: żółty kolor ogół ludzki nazywa żółtym, szary — szarym, czerwony — czerwonym, a tylko daltonista twierdzić może, iż czerwone, szare i żółte jest niebieskiem lub fioletowem.

Sądzę, iż w danym razie krytycy powinni porozumiewać się między sobą, aby nie wprowadzać w błąd biednej naszej publiczności, która i tak nie wie formalnie, czego się trzymać. W zeszłym tygodniu np. przy wystawieniu opery Bizeta oklaskiwała ona z zapałem trywialną, iście cyrkową artystkę, panią Bendazzi-Garulli, której głos mocno już nadszarpnięty, kilka zaledwie zdrowych i czystych nut posiadający, zacierał po prostu melodye niektórych aryj Carmeny. Oklaskiwała także surowego zupełnie śpiewaka, silnym lecz nieobrobionym zgoła barytonem obdarzonego, p. Astillero, którego nawet zasypano kwiatami, co wprost wywołało efekt wysokiego komizmu.

Bije się u nas brawo każdemu. Dosyć wziąć słabym falsetem *g* górne, aby wywołać entuzyazm; *b*, *h* i *c* doprowadzają do szału.

Publiczność nasza sądzi, iż wraz z biletami teatralnymi, numerem kontramarkarni i lornetką nabywa prawo wyhałasowania się, wykrzyczenia dowolnego. Ktoby chciał z uniesień jej poznać smak estetyczny naszych tłumów, ciężkie a nawet niemożliwe miałby do osiągnięcia zadanie. Oklaskom u nas na każdem bez wyjątku przedstawieniu nie bywa końca.

Prawu ogólnemu, tym razem najzupełniej słusznie, podległa młoda debiutantka, p. Przygodzka, o której nikt dotąd nic nie słyszał, której nie miały czasu czy też chęci rozreklamować *Kuryery*, a która zrobiła nam prawdziwie miłą niespodziankę ślicznym swoim sopranem, może cokolwiek skutkiem drżenia, ze zbyt zaciśniętej krtani wydobywanym, ale równym, ciepłym, świeżym, młodzieńczym i całkowicie, bez zarzutu, do wykonanej przez artystkę niewielkiej, lecz sympatycznej roli Micaëli w Carmenie przysposobionym.

Selika.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Taryfy zbożowe. W sprawie zastosowania nowych szematów taryfowych (wywozowego i wewnętrznego) do transportów zboża uznano za konieczne rozciągnąć stosowanie szematu wywozowego do wszystkich stacyj wewnętrznych, położonych w obrębie 50 wiorst od portów lub punktów wywozowych granicy zachodniej. Wyjątek dopuszczono tylko dla gubernij Królestwa Polskiego, ze względu na szczególne warunki rozmieszczenia w niem punktów zaludnionych i nieznacznych długości dróg żelaznych. Komitet giełdowy warszawski i przedstawiciele miejscowych kolei czynili starania o to, ażeby na kolejach Królestwa Polskiego do wywozu zboża za granicę stosowano formułę taryfową, przyjętą przy przewozie w komunikacyach kolei ruskich. Komitet taryfowy, nie przychyliwszy się do tego żądania, zwrócił jednak uwagę na to, że zaprowadzenie 50-wiorstowego pasu pogranicznego przedstawiałoby dla Królestwa Polskiego pewne niedogodności. W kraju tym, w obrębie 50-wiorstowego pasu pogranicznego, znajduje się wiele zaludnionych punktów, stanowiących poważne ogniska spożycia wewnętrznego. Dlatego też komitet przyszedł do wniosku, że co do Królestwa odpowiedniejszem będzie ustanawianie taryf tabelowych w ten sposób, aby wyrównać różnicę między zniżonemi opłatami przewozowemi do stacyj wewnętrznych tego kraju (szemat wewnętrzny) a wyższemi opłatami przewozowemi do punktów wywozowych zachodniej granicy lądowej (szemat wywozowy). Dane te ogłosił *Warszawskij Dniewnik*.

Przepisy giełdowe. Od 1 września do prowadzenia na giełdach operacyj walutowych i wekslowych dopuszczani będą tylko właściciele lub przedstawiciele istniejących w Rosyi przedsiębiorstw handlowych, przemysłowych i bankierskich. Subjekci kupców mogą dokonywać obrotów jedynie tylko na rachunek właścicieli na mocy posiadanego pełnomocnictwa. Osoby szerzące na giełdzie nieprawdziwe wieści lub trudniące się nielegalnemi operacyami, mogą mieć wzbroniony wstęp na giełdę na czas do jednego roku. Księgi maklerów giełdowych mogą być rewidowane przez ministeryum skarbu. Maklerzy, dopuszczający się nieprawnych operacyj, mogą być usuwani od obowiązków. Terminowe tranzakcye na różnicę, wynikłe z kupna lub sprzedaży waluty złotej, tratt i walorów na walutę złotą, zostają zabronione. Osoby trudniące się tem podlegają karze pieniężnej w rozmiarze 5—10% od sumy, na jaką tranzakcya była dokonana. W razie jeżeli to czynią instytucye bankowe, dyrektor i członkowie zarządu winni być na żądanie ministra skarbu w ciągu trzech miesięcy usunięci z posad.

Wiec cukrowników. Na obradach cukrowników rozbierano głównie kwestye techniczne zastosowania nowych pomysłów i wynalazków. Mówiono o nożach dyfuzyjnych i ulepszeniach krajalnic, wypróbowanych za granicą przez Kotla, o zastosowaniu pieców wapiennych z paleniskami półgazowemi, których u nas działa już cztery — itd. Odczytano również sprawozdanie ze zjazdu centralnego związku cukrowników niemieckich we Frankfurcie. Z poruszonych w nim spraw zainteresowały głównie dwie: oczyszczanie wód odciekowych z fabryk i najoszczędniejsze zużytkowanie materyału opałowego. W Niemczech cukrownie są wystawione na ciągłe protesty i procesy z powodu zanieczyszczania rzek. U nas wprawdzie procesów takich jeszcze nie ma, ale ze względów sanitarnych sprawa jest wielkiej wagi. Cukrownie zwykle urządzają się nad rzekami lub strumieniami, do których odpływają wszelkie zanieczyszczenia. Na przestrzeni kilku wiorst poniżej fabryki woda jeszcze wydaje woń odrażającą. Przekonano się, że wody odciekowe nie mogą być powtórnie w fabrykacyt używane; natomiast przyjęto jako zasadę studzenie ich przed wypuszczeniem do rzeki i pozbawienie części alkalicznych. W czasie trwania zjazdu we Frankfurcie urządzono konkurs palaczów, który wykazał, że na drodze oszczędności w opale można jeszcze wiele w Niemczech zrobić. U nas, mniej oszczędnych od niemców, tem bardziej wiele dałoby się pod tym względem zdziałać. Doradzano jeżeli nie założenie szkoły palaczów, to przynajmniej konkursy dla nich i wydanie odpowiedniej broszury. Wniosek przyjęto większością głosów. Rozbierano dalej różne sprawy specyalne. Poruszona kwestya zastosowania torfu, jako materyału opałowego, chociaż największe znaczenie ma dla cukrowni, ważną jest również i dla innych gałęzi przemysłu. Torf daje oszczędności od 18 do 35%, co zależy od jego gatunku, położenia torfowisk, sposobów eksploatacyi i urządzenia palenisk. Z danych o 208 cukrowniach na ogólną liczbę 221 okazuje się, że stan tegorocznych plantacyj buraków jest wszędzie pomyślny. Obszar ich zwiększył się o 11%. Deszcze przeszkadzały pieleniu. Obrady były ożywione — wiele spraw nie można było dokładnie rozebrać z powodu obfitości materyału i braku czasu.

Zapowiedź zbiorów. Minister skarbu otrzymał doniesienia inspektorów podatkowych zaznaczające polepszenie się stanu zasiewów. Z wyjątkiem niektórych miejscowości w gub. wschodnich, środkowych i północno-zachodnich, gdzie nastąpiło pogorszenie się z powodu majowej posuchy — oziminy są wszędzie lepsze. Wogóle jednak i w gub. wschodnich i środkowych stan ozimin jest zadawalający. W gub. północno-zachodnich warunki wzrostu zboża także się polepszają. W całym pasie południowym Rosyi, zwłaszcza w gub. stepowych, na Kaukazie północnym i w Króletwie Polskiem stan atmosferyczny był na tyle sprzyjającym, że oziminy są bardzo dobre. Stan mierny i niezadawalający zboża jarego jest tylko w 8,4 ogólnej liczby 604-ch powiatów. Szkodliwe owady dały się uczuć tylko w nieznacznej liczbie powiatów gubernij wschodnich i południowych. Sama jednak zapowiedź urodzaju nie określa jeszcze położenia rolników; nieraz zbyt wielka obfitość jest dla nich gorszą od nieurodzaju, wywołując niepomierny spadek cen. W roku bieżącym jednak i rynek zbytu zapowiada się pomyślnie. Z trzech głównych spożywców zbożowych — Anglii, Niemiec i Francyi — tylko ostatnia może się pochwalić zapowiedzią niezłych zbiorów — w dwóch zaś pierwszych panuje susza. W Prusach budzi ona poważne obawy. Dają się słyszeć skargi na brak paszy. Pszenica ozima źle kwitła i pożółkła. Żyto ozime i zboże jare złe. W miejscowościach nawiedzonych deszczem stan ten się polepszył. Ministeryum, wobec grożącego braku paszy zarządziło zniżenie frachtu dla wszystkich gatunków paszy (Staaten-correspondenz). Podobnież się dzieje i w Anglii. Wywołany posuchą brak paszy podniósł ceny siana miejscowego do 7-u funtów szterlingów za tonnę — kanadyjskiego do 5-u, na rynku zaś londyńskim zgromadził olbrzymie zapasy mięsa. Można się zatem spodziewać większego zapotrzebowania na zboże nasze i wzrostu cen, jeżeli tylko Ameryka i Australia nie dostarczą nadmiaru.

— Kilku przemysłowców warszawskich zamierza założyć w Łodzi farbiarnię na wielką skalę.

— Wkrótce rozpoczną działalność nowo założone fabryki w Warszawie: przyrządów i instrumentów chirurgicznych w pobliżu rogatki mokotowskiej, drobnych wyrobów terrakotowych przy okopach i części składowych do lamp przy ul. Pawiej.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało szereg środków mających na celu organizacyę pszczelnictwa w lasach rządowych.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum dóbr państwa zamienione zostało na ministeryum rolnictwa i dóbr państwa z odpowiedniem rozszerzeniem zakresu jego działalności i wzmocnieniem wpływu na rozwój przemysłu rolniczo-wiejskiego w Cesarstwie. Przy ministeryum będzie utworzona rada z udziałem najwybitniejszych rolników i gospodarzów miejskich, istniejące dotychczas komitety naukowy i górniczy będą zjednoczone, oprócz tego powstanie kancelarya ministeryum i departament dóbr ziemskich, który, pomiędzy innemi, zawiadywać będzie przesiedlaniem włościan. Departament ten będzie podzielony na dwie samodzielne instytucye: wydział administracyjny i techniczny. Ministeryum zwoływać będzie od czasu do czasu zjazdy okręgowe rolników i urządzać wystawy.

— Werbunek robotników z Królestwa do sprzętu siana i zboża w Prusach wschodnich, z powodu ulg ze strony władz niemieckich, był w r. b. ożywiony. Same statki przewiozły około 3,000 robotników, przeważnie z gub. płockiej i piotrkowskiej — wielu zaś podążyło pieszo lub kolejami.

— W danej chwili korzysta z kolonij letnich 400 dzieci.

— Na posiedzeniu członków zarządu Towarzystwa osad rolnych zapadła ostateczna uchwała względem wprowadzenia kasy zaliczkowo-wkładowej dla osób pracujących w tej instytucyi. Do składu uczestników mogą należeć pobierający miesięcznie wyżej nad rs. 50. Fundusz zakładowy 300 rs. będzie zaczerpięty z kapitału oszczędnościowego, a suma może być powiększona według uznania towarzystwa. Pożyczki będą udzielane na raty z terminem półrocznym na 4%, wysokość zaś ich nie może przenosić rozmiarów pensyi dwumiesięcznej. W razie zamknięcia kasy, co może nastąpić na żądanie $^2/_3$ ogółu uczestników, kapitał zakładowy byłby wcielony do ogólnego funduszu ekonomicznego towarzystwa.

— Na mocy rozporządzenia departamentu lekarskiego, wzbroniono dentystom nadużywania tytułu lekarza, do którego mają prawo tylko posiadający świadectwo ukończenia kursu medycyny, albo specyalnych szkół dentystycznych. Prócz tego departament zalecił, aby dentyści w ogłoszeniach swoich unikali przesadnych reklam. Wszelkie rysunki orderów, medali, krzeseł operacyjnych itd. są wzbronione. W ogłoszeniach mogą być tylko wymieniane tytuły naukowe, nazwisko, specyalność, miejsce zamieszkania i godziny przyjęć. *Now. Wr.*

— Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło, aby w guberniach, w których koloniści cudzoziemcy tworzą jednolite gminy niemieckie, czeskie itd., pozbawione żywiołu ruskiego, dokonany był nowy podział gmin z włączeniem do każdej z nich pewnej liczby wsi ruskich.

Szkoły. Kurator okręgu naukowego warszawskiego złożył w ministeryum oświaty projekt otwarcia w Warszawie przy ogrodzie pomologicznym wyższej szkoły ogrodniczej, gdzie przyjmowani być mają kandydaci, posiadający świadectwo z ukończenia 4-ch klas gimnazyalnych, szkół realnych lub miejskich, z warunkiem złożenia egzaminu z botaniki. Kurs nauk, dla posiadających już praktykę będzie 2-letni, dla innych zaś 3-letni. Rok szkolny trwać będzie od 13 października do 14-go sierpnia. Pod względem wojskowym uczniowie mają korzystać z ulg dla średniego wykształcenia. (*Now. Wr.*).

— W Kiszyniewie ma być otwarta w r. b. wyższa szkoła hodowli i fabrykacyi wina. Kurs czteroletni — teoretyczny i praktyczny.

— Ma być wkrótce rozstrzygnięta sprawa utworzenia w Petersburgu instytutu lekarskiego dla kobiet. Słuchaczkami będą mogły być kobiety, które złożą egzamina z zakresu gimnazyów męzkich lub ukończyły klasyczne żeńskie. Kurs czteroletni z dodatkiem dwuletniej praktyki w szpitalach. (*Now. Wr.*).

Konkurs. Petersburskie Towarzystwo pszczelnicze ogłasza konkurs z trzema nagrodami: 200 rs. za najlepszą prasę do wosku w małych pasiekach, 125 rs. za najlepszą pracę o przyrządzaniu napojów z miodu i 75 rs. za najlepszy miód (napój). Rozprawa o przyrządzeniu napoju powinna mieć charakter naukowo-praktyczny i być oryginalną; nagrodzona — stanowi własność autora, który obowiązany jest wydać ją własnym nakładem przed wypłatą nagrody lub oddać na własność Towarzystwa za cenę 40 rs. od arkusza druku. Termin składania prac będzie ogłoszony.

Wypadki. W tunelu Parckenwilskim w Ameryce wykolei się pociąg; 10 osób zabitych, około 100 rannych.

— Zatonął statek „Władywostok," należący do floty ochotniczej; wpadł na skałę przy ujściu Amuru. Ludzie uratowani.

Dobroczynność publiczna. Zapis 4,000 rs. Pauliny Żórawskiej na rzecz schronienia dla paralityków został zatwierdzony.

Bibliografia. *Prace matematyczno-fizyczne*, wydawane przez Dicksteina, Gosiewskiego, E. i W. Natansonów, tom IV, str. 230.

— S. Rewieński, *Pies* jego gatunki, rasy, wychów, utrzymanie, użytki, układanie, choroby i ich leczenie, str. 274, Gebethner i Wolff.

— Witold Kirkor, *Walek muzykant*, opowiadanie Wojciecha z Kornelówki, str. 60, Warszawa, kop. 15.

— — *Jędrek malarz*, str. 43, Warszawa, kop. 10.

— *Rejestra gospodarskie* „Rolnika i Hodowcy," ułożono przez małżonków Meylertów. Tablice z objaśnieniami.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu R. St. w Bernie. Korespondenta w Chicago mamy.

Prenumeratorowi. Niech Pan przeczyta przedtem wydaną przez nas *Antropologię* Tylora oraz *Naukę o ludach* Peschla.

Gazeta Polska

zawiadamia czytającą publiczność, że w lipcu r. b. rozpocznie się na szpaltach tego dziennika druk *nowej dwutomowej powieści* **Henryka Sienkiewicza** p. t.

„Rodzina Połanieckich,"

której wyłączne prawo przedruku „Gazeta polska" nabyła od „Biblioteki warszawskiej."

Z wyjątkiem „Biblioteki warszawskiej" i „Gazety polskiej" żadne inne pismo w kraju ani za granicą powieści tej przedrukowywać nie będzie.

Oprócz „Rodziny Połanieckich" Sienkiewicza posiada „Gazeta polska" do druku powieść J. I. Kraszewskiego (na rok przed śmiercią napisaną) p. t. „Nera" i powieść Mańkowskiego p. t. „W czepku urodzeni."

„Gazeta polska" w każdym numerze zawiera trzy, często cztery artykuły, traktujące o sprawach aktualnych z zakresu polityki, literatury, sztuki, nauki.

„Gazeta polska" oprócz korespondentów krajowych utrzymuje 12-tu stałych korespondentów w głównych ogniskach życia Europy.

„Gazeta polska" posiada bogaty dział depesz.

„Gazeta polska" podaje nadto wiadomości sportowe, kursa giełdy, ceny produktów rolnych, meteorologię.

Zwraca się uwagę na użyteczność ogłoszeń drukowanych w „Gazecie polskiej."

Cena „Gazety polskiej" w Warszawie kop. 75 miesięcznie, na prowincyi rs. 3 kwartalnie. Adres: Warecka nr. 14.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA „PRAWDY."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika.** tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologi — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Natargu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.

— **Niewinni**, dramat w trzech aktach — kop. 80.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach, rs. 1. kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800 - 1888 — rs. 3. k. 30.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa — rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

WYSZŁA Z DRUKU KSIĄŻKA

L. Krzywickiego

LUDY

str. 432. Cena rs. **2** k. **50**, z przesyłką pocztową rs. **2** k. **80**. Nabyć można w Administracyi *Prawdy* oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Nauczyciel

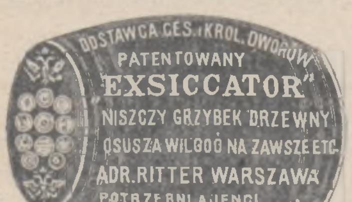
potrzebny jest natychmiast lub od 1-go września r. b. do 2-ch chłopców dla przygotowania ich do wyższych klas gimnazyalnych. Gruntowna znajomość polskiego i ruskiego języka wymagana. Oferty wraz z fotografią, świadectwami i dokładnem *curiculum vitae* proszę adresować: Profesorowi W. Lutosławskiemu z Drozdowa gub. m. Łomża.

WARSZAWSKA

Szkoła Dentystyczna

1893/4 rok szkolny,

zawiadamia, że przyjmowanie próśb na imię Zarządzającego szkołą zaczyna się dnia 15 (27) czerwca r. b.



Wózki i Welocypedy

dziecinne, Łóżka żelazne, Materace druciane, Wagi dziesiętne, Siedzenia druciane do bryczek i linijek wypróbowanej trwałości, w zupełności zastępujące resory, poleca fabryka J. Neufelda, Pańska nr. 33. Szczególną uwagę zwraca się na trwałość wyrobu i stałe ceny; opis siedzeń wysyła się na żądanie. 8

Do nabycia w Administracyi „Prawdy":

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

(ilustrowana).

Cena rs. 2 kop. 40. z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Spółka Nakładowa

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych. Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia.

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, **Marszałkowska 95.**

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Іюня 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.